

W DRODZE

D W U T Y G O D N I K P O L I T Y C Z N Y I L I T E R A C K I

Nr. 18 (36)

Jerozolima, 16 września 1944 r.

Rok II

ZYGMUNT KOTOWICZ

Anglia, leader obozu demokratycznego

Przez całe dwudziestolecie pomiędzy końcem pierwszej wojny światowej a początkiem drugiej stale powtarzały się opinie, że Wielka Brytania traci na znaczeniu, a Imperium Brytyjskie słabnie i zmierza ku rozpadowi. Niektóre sady szły nawet tak daleko, iż uważały, że Anglia „traci swe oblicze”, że cała polityka angielska może być streszczona w krótkim powiedzeniu: perfidny Albion, a angielska potęga — w powiedzeniu: lew brytyjski, któremu ze starości wypadły zęby.

Na pozór wydawało się, że opinie te są słuszne; wiele wydarzeń na arenie międzynarodowej, w których Wielka Brytania prawie że z reguły odgrywała rolę kapitulacyjną, dostarczało aż nadto dowodów. Najbardziej przekonującym było Monachium.

A przecież tenże sam Chamberlain, który był współautorem układu monachijskiego, ogłasza przed światem gwarancje dla Polski, a następnie doprowadza do sojuszu angielsko-polskiego. Należy zwrócić szczególną uwagę na fakt, że sojusz ten został podpisany po fiasco rokowań rządów angielskiego i francuskiego z rządem sowieckim, a więc w rezultacie mógł (co się zresztą stało) spowodować eksplozję nagromadzonych sił imperializmu niemieckiego, nie stwarzając w zamian wystarczającej przeciwwagi sił, które mogłyby imperializm niemiecki utrzymać w ryzach. Ale i to posunięcie rządu angielskiego oceniono wówczas jako polityczny bluff.

Wielka Brytania postanowiła jednak wypełnić swoje zobowiązanie wobec Polski, jak również wywarła w tym kierunku nacisk na Francję.

Koniec 1939 r. całkiem już wyraźnie uwypuklił przewagę militarną Niemiec, znaczoną jeszcze bardziej przez fakt odpadnięcia frontu wschodniego na skutek pokonania przez Niemców oporu armii polskiej. Tym niemniej rząd angielski jeszcze na przełomie 1939-40 r. wyrażał gotowość przyjęcia z pomocą innym ofiarom agresji, zapowiadając nawet wysłanie korpusu ekspedycyjnego. Wiemy już dziś dobrze, że Anglia w tym okresie była zupełnie nieprzygotowana do wojny — pomimo to jednak demonstrowała gotowość do walki i walkę tę podejmowała.

Historia 1940 i pierwszej połowy 1941 r. wyraża się jednym słowem: klęska. W krótkich odstępach czasu zostają kolejne pobite: Norwegia, Holandia, Belgia, Francja, a potem Jugosławia i Grecja. Pobita została na kontynencie i Anglia: w Norwegii, na polach Flandrii, w północnej Francji i wreszcie w Grecji. W tym czasie sama Anglia została poddana strasliwemu bombardowaniu. Jednak pomimo tych klęsk i pomimo kuszących propozycji pokojowych nie skapitulowała.

Co więcej, nie rozpadło się Imperium Brytyjskie. Wszystkie Dominia, jedno po drugim, przystąpiły w pierwszych dniach września 1939 do wojny, a w końcu 1940 r. i na początku 1941 r. wojska kanadyjskie, australijskie, nowozelandzkie i południowo-afrykańskie były armiami, które sam na sam stawiały czoła potężnej niemieckiej maszynie wojennej, wzmocnionej do tego armią, flotą i lotnictwem wóskim. Żadne z Dominów nie zdecydowało się na kapitulację i na zerwanie tych związków imperialnych z Wielką Brytanią.

Druga połowa 1941 r. przynosi kompletną zmianę sytuacji. Lata 1942-43 są okresem przygotowania się Imperium Brytyjskiego wspólnie z sojusznikami Stanami Zjednoczonymi do ataku na europejską twierdzę Hitlera, której wschodnie wały zaczęła już szturmować czerwona armia.

Obecnie sytuacja militarna na kontynencie europejskim ulega zasadniczej zmianie. I w tym właśnie momencie wybuchł najostrejszy kryzys od czasów Monachium.

Należy jednak przypomnieć ten fakt, że pomiędzy kryzysem monachijskim a kryzysem obecnym my, Polacy, przeżywalimy już jeden ciężki kryzys polityczny, kiedy po kapitulacji Francji zdawało się, że jesteśmy w sytuacji beznadziejnej. Wówczas najbardziej nawet optymistyczne spekulacje polityczne nie tylko że nie mogły wytworzyć w nas pewności co do zwycięskiego dla nas rezultatu wojny, ale nawet nie mogły wywołać poważniejszych nadziei na możliwość chociażby względnie pomyślnego dla Polski zakończenia walki. Pewne sprawy musieliśmy rzucić na szalę losu. Takie postępowanie w czasie wojny jest nieraz nieuniknione i tak postąpił w drugiej połowie 1940 r. premier Churchill, a

z nim cały naród angielski w godzinach, kiedy Anglię mógł uratować tylko los.

W tym samym czasie wiele państw i narodów poszło drogą całkiem różną. Rumunia na przykład zastosowała politykę ratowania, co się da, i przez cały czas tej wojny szła od kapitulacji do kapitulacji: w sprawie Besarabii i Bukowiny, w sprawie Siedmiogrodu, w sprawie Dobruży, w sprawie bezwarunkowego podporządkowania się Niemcom.

Jakież różna jest sytuacja międzynarodowa dzisiaj w porównaniu z końcem 1940 r. Wówczas Anglia stała osamotniona wobec olbrzymiej maszyny wojennej niemiecko-włoskiej, nawpół bezbronna, atakowana na swych wyspach i oczekująca z dnia na dzień inwazji. Ameryka była neutralna, a nawet broń, posyłana zza Oceanu, trafiała przeważnie na dno Atlantyku. Rosja wyczekiwała. A pomimo to losy nasze postanowiliśmy wiązać z losami Anglii.

Dziś imperializm włoski został już zlikwidowany. Militarizm niemiecki stoi u progu ostatecznej klęski — natomiast na kontynencie europejskim działa nowa, olbrzymia i doskonale wyposażona maszyna militarna, tym razem sojusznicza, angielsko-amerykańska, w której skład wchodzi także wysoko cenione dywizje polskie.

I jeżeli w 1940 r. naród angielski przez chwilę nie dopuszczał nawet myśli o kapitulacji, to nie dlatego, że czuł sympatię dla pobitych Polaków lub żywił nienawiść do barbarzyńskich Niemców (o co zresztą mieliśmy stale pretensje do Anglików), lecz dlatego, że bronił swej własnej pozycji narodowej. A jeżeli nie skapitulował wtedy, to po to, aby po blisko pięciu latach tak kolosalnego i tak ryzykownego wysiłku wojennego wojnę ostatecznie rozstrzygnąć nie tylko w sensie militarnym, ale i politycznie.

Anglicy nie chcieli wojny z Niemcami, a pomimo to walkę podjęli i podjęli świadomie, gdyż Niemcy nie zgodzili się na współpracę międzynarodową z zachowaniem zasad tej współpracy, opartych na poszanowaniu interesów i praw wszystkich narodów. Nic więc dziwnego, że instynkt polityczny w dniach najcięższego kryzysu w 1940 r. podyktował Polakom związanie się z Anglią na śmierć i życie, czemu dał wyraz gen. Sikorski w dziś już historycznej rozmowie z Churchilllem, kiedy postanowił, że Polacy po kapitulacji Francji będą kontynuowali walkę u boku Wielkiej Brytanii.

Anglia, jak już powiedzieliśmy wyżej, dąży do rozstrzygnięcia wojny także i pod względem politycznym.

Dowodem tego są chociażby ostatnie wy-

owiedzi premiera Churchilla. W dniu 18 lipca oświadczył on w Izbie Gmin, że zbrodniarze niemieccy nie będą mogli uniknąć kary, „przechodząc na wiarę komunistyczną”, i że Sprzymierzeni, podejmując decyzje doprowadzenia do bezwarunkowej kapitulacji Rzeszy (jak wiadomo decyzja ta zapadła w czasie spotkania Churchilla z Rooseveltem w Casablance), mieli na uwadze i byli przygotowani na ewentualność, iż robotnicy niemieccy obalili mogą obecnego swój rząd i ustanowić reżim konstytucyjny.

Wygłaszając w dn. 2 sierpnia (już po wyjeździe premiera Mikołajczyka do Moskwy) w Izbie Gmin wielkie exposé polityczne, Churchill podkreślił z naciskiem, że w sprawie przyszej organizacji świata powojennego pragnąłby zapoznać się z opinią innych większych narodów, zanim Wielka Brytania zajmie jakieś określone stanowisko. Należy przypuszczać, iż szef rządu brytyjskiego czeka przede wszystkim na opinię Ameryki, której głos padnie dopiero za parę miesięcy w czasie wyborów prezydenckich. Tym niemniej premier angielski w tej samej mowie wypowiedział się ze stanowczością, że byłoby bezcelowym i nieroztropnym ze strony jakiegokolwiek państwa usiłować nakreślić pewne reguły w tej dziedzinie lub narzucać granice czy też środki, przy których pomocy takie a nie inne granice miałyby być utrzymane.

Naród angielski w czasie pięciu lat wojny wykazał nie tylko siłę charakteru i wolę zwycięstwa, ale pokazał również światu, że decyzyje swoje, aczkolwiek pobierane powoli i z dużą rozważą, potrafi zamienić w czyn. Nieprzygotowany do wojny, zdołał tym niemniej zorganizować doskonale nowoczesne lotnictwo, wyszkolił dobrą armię lądową, dziś stał się pełnowartościową potęgą militarną na lądzie, morzu i w powietrzu. Rząd brytyjski zdemontrował również światu, iż jego polityka jest polityką dalekowzroczną, polityką szerokich horyzontów. W swej zaś taktyce politycznej nie pozwolił się nigdy kierować odruchem nerwowym, nastrojami. Realizuje on konsekwentnie wytknięte cele polityczne, idąc pewnie od etapu do etapu, w miarę rozwoju wypadków na arenie międzynarodowej i nie dbając o tani efekt i poklask tych, którzy nie potrafili czy nie mogą być cierpliwymi, a bardzo często po prostu są nieświadomi niejednokrotnie bardzo trudnych sytuacji, w jakich się znajdował i nadal się znajduje.

Polityczna myśl angielska coraz wyraźniej wykazuje zrozumienie tego, że ewolucja świata, tak pod względem politycznym, jak i ekonomicznym, doszła do takiego stadium, iż dla opanowania całokształtu tych zagadnień

W numerze:

S. Weinberg: Prof. Renner urządza świat.
— S. Wilucki: O nowe drogi myśli polskiej.
— W. Szymański: Problemy bałkańskie. Jugosławia. — J. Larren-Lenczowski: Listy z Persji. — hsd: Wśród książek. — Z. Broncel: Poezja karpadka. — M. Yu: Stare i nowe życie w Chinach. — Por. Herbert: „Swińska” sprawa. — K. Wierzyński: Teby. Strofa o wolności. — J. Pomian: Listy z podróży do Afryki. Przez Mozambik. — J. Technolog: List z drogi Karpackiej. — J. Martyka: Kronika filmowa. Niemcy w Ameryce. — mi: Szekspir w parkach i na rynkach. — Literatura polska w oczach Anglików. — H.S. Dominik: Opinie angielskie. — G. Herling-Grudziński: Wśród książek, nadesłanych z Anglii. — ww: Przegląd polityczny. — Kronika polska.

potrzebny jest jeden, wspólny dla całego świata ośrodek dyspozycyjny. Ośrodek ten mógł powstać przez zdobycie bezwzględnej supremacji nad innymi przez jedno państwo: do tego dążyli Niemcy drogą stworzenia teorii o niemieckim „Herrenvolku”, jak również dążył do tego Komintern przy pomocy swej koncepcji zwycięstwa ustroju komunistycznego na całym świecie, z jednym bezwzględnym ośrodkiem dyspozycyjnym.

Polityczna myśl angielska stoi natomiast na stanowisku, że ośrodek taki może powstać jako pewnego rodzaju ciało zbiorowe, dysponujące atrybutami władzy wykonawczej (w przeciwieństwie do Ligi Narodów, która władzę wykonawczą nie dysponowała). Rząd angielski zożył dużo dowodów, świadczących, iż rozumie on, że zasadnicze podstawy porządku światowego muszą być wspólną koncepcją przynajmniej dla głównych kontrahentów politycznych. Ta wspólność założeń zarysowała się już — przynajmniej w naogólniejszych zarysach — między Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi, przyczem ważną okolicznością jest fakt, iż w tym wypadku założenia te są wspólnymi również i dla Dominów brytyjskich, co ma duże znaczenie, ponieważ rząd angielski z opinią Dominów liczy się bardzo poważnie.

Te próby opracowania szerokich, ogólnoswiatowych koncepcji politycznych wyraziły się w szeregu aktów i deklaracji politycznych. Pierwszą taką deklaracją była śmiała koncepcja Churchilla stworzenia unii brytyjsko-francuskiej, którą szef rządu angielskiego zaproponował Francuzom w przeddzień kapitulacji Francji. Angielska opinia polityczna z zadowoleniem przyjęła do wiadomości podpisanie umowy wstępnej pomiędzy rządem polskim a rządem czeskosłowackim, zawierającej projekt konfederacji polsko-czechosłowackiej. Premier Churchill wspólnie z Prezydentem Rooseveltem sformułował również pierwszą tezę dla powojennej współpracy międzynarodowej, wyrażającą się w t. zw. Kartie Atlantycznej. W wielkiej zaś mowie programowej, wygłoszonej w roku ubiegłym, sformułował on również swój pogląd na przyszłą organizację świata, którą widzi w powstaniu szeregu federacji.

Ostateczne zwycięstwo nad państwami osi jest już pewne. Zwycięstwo nad Niemcami wydaje się być nawet bliskie. Jednak w miarę zbliżania się tego zwycięstwa nie łagodzą się, lecz na odwrót zwiększają się komplikacje polityczne. Zjawisko to jest zupełnie zrozumiałe i nawet, można powiedzieć, naturalne. Dopóki szala losów wojennych ważyła się to na jedną to na drugą stronę, wszyscy byli zaprzęgnięci organizowaniem wysiłku wojennego dla osiągnięcia przede wszystkim zwycięstwa militarnego. Teraz, gdy zwycięstwo to stało się pewnikiem, musiały wystąpić istniejące już nie od dziś sprzeczności celów politycznych poszczególnych sojuszników. Pamiętać należy, że główne mocarstwa przystąpiły do wojny w całkiem różnych okolicznościach politycznych.

W czasie całego pięcioletniego okresu wojennego obok współpracy wojskowej (która w ścisłym tego słowa znaczeniu zaczęła się dopiero z końcem 1941 r.), współpraca polityczna najbardziej harmonijnie układała się pomiędzy Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi. Obok tych dwóch wielkich państw anglosaskich najbardziej konsekwentną politykę polityczną reprezentowała Polska, której w udziale przypadła rola współzałożyciela Narodów Zjednoczonych, co się wyraziło w sojuszu polsko-angielskim. Natomiast sytuacja na kontynencie europejskim jest mocno skomplikowana przez fakt bankructwa czynników politycznych, które stanowiły o względnym porządku i organizacji Europy przedwojennej; nowe zaś czynniki polityczne, jako poważna siła organizacyjna, jeszcze nie wystąpiły.

Tym się też tłumaczy bardzo ostrożne postępowanie rządu angielskiego, co wielokrotnie jest komentowane jako jego słabość lub wyrzeczenie się praw europejskich. Dziś jednak Anglia ingerencji w sprawy kontynentu wyrzec się nie może, gdyż jest to kwestia jej własnego bezpieczeństwa. Dlatego też świadomie spełnia ona rolę lidera obozu demokratycznego, aczkolwiek zadanie to nie jest łatwe, a jej polityka w związku z tym bardzo często wywołuje ostrą krytykę narodów, którym, jak naród polski, coraz trudniej jest czekać w obliczu beznadziejnych zbrodni niemieckich.

ALEKSANDER JANTA

KA WALERIA

Zuzannie Wieniawa-Długoszowskiej

Z czym wy szaleńcy poszliście w szranki podobnej bitwy?

Z szablą na pancerz? z lancą na tanki w szepcie modlitwy?

Szturmem poświęceń, rozmachem cwału jak pod Rokitną?

Cóż im, ułanom, z tego zostało, że krwią zakwitną?

Śmierć prosto w oczy dmie. Jezus Maria! Dolo okrutna!

Nie kawaleria, ale kalwaria na polach Kutna.

Koń niedobity być może zarzy, serce się wzdrzgnie,

że niepotrzebnie ginęli w szarży, co nie rozstrzygnie,

Co nie przychvli lauru zwycięstwa, — daremne względy — skoro świat wzgardził wzorami męstwa, nie chce legendy.

A że go dręczy wyrzut sumienia, przeklął tę ziemię, po której idzie pochód ich cienia, strzemię o strzemię.

Cóż, że duch stawał przeciw materii w ostatnim zryw, kiedy kalwaria tej kawalerii trwa uporczywie.

ETAP

Gdy dziś wiosną z wyraju wracające ptaństwo, klucze naszych żorawi i wieńce jaskółek szukają miejsc w przelocie na krótki przystulek, niech odpoczną na wzgórzu, gdzie stało Opactwo.

Bo odtąd szlak powrotny tą świeci ruiną i w sztandarach z niej bije skrzydłami orlemy, co wiernym znów otworzą drogę z włoskiej ziemi ku Tej, która nie zginie, póki oni giną.

STANISŁAW WEINBERG

Prof. Renner urządza świat

Wiele rozgłosu wywołał przed dwoma laty artykuł geografa amerykańskiego, prof. George'a J. Rennera, zamieszczony w tygodniku „Colliers”, a poświęcony nowemu podziałowi Europy po wojnie. Przy pomocy cyrka i węgelnicy uczony amerykański dowiódł w nim, że bezpieczeństwo europejskie zapewnione będzie w sposób najskuteczniejszy wtedy, gdy troskę o nie obejmą wielkie mocarstwa, podczas gdy tak zwane małe narody (nazwa ta nie przynosi ujmy, skoro i Francja znalazła się w ich szeregu) odgrywać będą rolę mniej więcej taką, jaka w Europie powersalskiej przypadła republikom Andorry, San Marino lub Monaco. Jednym ze słupów tego nowego porządku europejskiego miały być oczywiście Niemcy, którym czym prędzej należało w tym celu przydzielić Śląsk i Pomorze, Austrię i Sudety, Alzację i Lotaryngię, a z Flandrii, Holandii i Danii utworzyć protektorat czwartej, naturalnie, demokratycznej i miłującej pokój Rzeszy.

Mały entuzjazm, jaki te projekty wywołały nawet w tych kołach, w których mogły, zdawałoby się, liczyć na przychylniejsze przyjęcie, nie odstraszyły prof. Rennera od dalszych badań nad zbawieniem ludzkości. Przeciwnie, załatwiwszy się w ten sposób z Europą, zabrał się obecnie do podziału całego globu ziemskiego. W czerwcowym numerze „The American Magazine” uczony geograf ogłosił nowy plan świata, opracowany do ostatecznych szczegółów, tak, iż konferencji pokojowej pozostałoby jedynie chyba tylko ustalenie posterunków granicznych i celnych na nowych granicach.

Nad światem powojennym panować będą cztery wielkie mocarstwa: Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, Rosja Sowiecka i Chiny; każde, jak Saturn, otoczone pierścieniem swojej strefy wpływów. Zamiast społeczności równych, wielkich i małych narodów, znajdziemy się w świecie, kierowanym przez cztery olbrzymie nadpaństwa. Przyszłość świata winna zależeć raczej od możliwości współpracy międzyregionalnej czterech mocarstw, niż od współpracy międzynarodowej dużych i małych narodów. Czynnikiem, tkwiącym u podstaw takiej tendencji **rozwoju**, jest nie tyle chęć wzajemnej współpracy wielkich potęg, ile pragnienie zapobieżenia wznowienia się straszliwej katastrofy, przez jaką obecnie przechodzą. Każde z mocarstw szuka raczej środków rozwiązania własnych problemów, niż jedności świata.

Po tej deklaracji ideowej następuje konkretny wizerunek czterech nowych części starożytności.

Strefa amerykańska:

Stany Zjednoczone są zagrożone z dwóch stron. Ich stosunki handlowe ze Wschodem zostały przerwane, a wpływy w Ameryce Południowej podminowane. Dążąc zatem do osiągnięcia pełnego bezpieczeństwa na obu frontach, muszą zabezpieczyć sobie na zawsze komunikację ze Wschodem i do ostatecznych granic możliwości wzmocnić solidarność panamerykańską. Na Atlantyku wynika stąd konieczność konsolidacji połączeń amerykańskich z Liberią, oraz uzyskania baz na Islandii, Nowej Ziemi i Zielonym Przylądku. Na Pacyfiku wszystkie wyspy, należące do Japonii lub spod jej mandatu, przejdą prawdopodobnie pod kontrolę Stanów Zjednoczonych, które w ten sposób otrzymają bazy na Filipinach i kontrolę wysp Salomona, Gilberta i Nauru. Praktyczne przeprowadzenie tego planu zapewni Ameryce bezpieczeństwo na obu oceanach.

Ze względów strategii lotniczej Stany Zjednoczone winny kontynuować po wojnie kontrolę jowiskową Grenlandii, a nawet w drodze negocjacji nabyć szereg bezludnych wysp na północ od Kanady.

W Ameryce południowej wszystkie republiki znajdują się w orbicie wpływów Stanów Zjednoczonych, z wyjątkiem Argentyny, związanej silnie kulturalnie z Hiszpanią i gospodarczo z Wielką Brytanią. Z tych przyczyn Argentyna grawitować będzie raczej ku sferze anglo-europejskiej.

Strefa brytyjska:

Wielka Brytania stanie się po wojnie jedynym wielkim narodem europejskim. Ku strefie bezpieczeństwa brytyjskiego ciążyć będą wszystkie mniejsze kraje Europy zachodniej. Do strefy tej będą należały prawdopodobnie wszystkie kolonie, oraz te obszary Afryki, Azji Południowej, Australii i oceanów, które nie znajdują się pod kontrolą amerykańską. Siła strefy anglo-europejskiej zależeć będzie od eliminacji koni trojańskich, takich jak faszystowska Hiszpania i rywalizacje narodowe, które przez długi czas jeszcze tlić mogą pod popiołami.

Strefa chińska:

Głównym zadaniem zwyciężczych Chin będzie ostateczna likwidacja wszystkich praw koncesyjnych państw europejskich i jak najdalsze usunięcie od swych brzegów wszystkich potencjalnych napastników. Otrzymają one niewątpliwie Formozę, Tonkin, wyspy Lin-shoten i część Mandzuii. Osiągną swoje cele dlatego, że istnienie silnych Chin leży w interesie pozostałych trzech mocarstw. Dla Rosji — pisze prof. Renner — Chiny takie stawać będą ajatacką przeciwwagą w razie ewentualnej napaści anglo-amerykańskiej. Dla Wielkiej Brytanii będą rodzajem państwa bu-

forowego między Indiami a Rosją; Ameryce wreszcie zapewnią silny kontakt ze Wschodem.

Strefa rosyjska:

Rosja otoczy się kordonem przyjaznych i pozostających pod jej kontrolą państw buforowych. Jest to metoda głębokiej obrony politycznej i dyplomatycznej, którą Rosja przekładać będzie nad wszelkie traktaty. ZSRR zabierze bez wątplenia port fiński Petsamo, przywróci swój front bałtycki i posunie się, być może, do morza Egejskiego. Na Dalekim Wschodzie zajmie Archipelag Kurylski, południowy Sachalin i, być może, Port Artur. Liczni obserwatorzy dyplomatyczni są zdania, że celem najskuteczniejszej obrony od strony reszty Azji Rosja dążyć będzie do stworzenia łańcucha państw buforowych od Europy po Pacyfik. Rosja ujawniła zamiary wcielenia krajów bałtyckich i swych zdobyczy z r. 1940 w Finlandii, oraz rozciągnięcia Białorusi i Ukrainy po ich zachodnie granice językowe w Polsce, Czechosłowacji i Rumunii. Kontynuując tę samą politykę w republice moldawskiej, wypadnie jej zająć całą Rumunię. Krokiem następnym będzie inkorporacja do Związku bułgarskiej republiki sowieckiej z oknem na morze Egejskie. Tu znowu dla obrony granic potrzebny jej będzie kordon małych republik, co daje wy tłumaczenie traktatu sowiecko-czechosłowackiego, zawartego z Benesem, a poparcia dla partyzantów jugosłowiańskich i greckich, a wreszcie utworzenia komitetu polskiego w Moskwie.

Poglądy prof. Rennera przeszły w ciągu dwóch lat, jak widać, poważną ewolucję. Ewolucja nie zawsze równoznaczna jest z postępem. Tym razem już nie Niemcy zbawiać mają przyszłą Europę — przeciwnie, zupełnie ich brak w nowym obrazie świata. Można się zresztą nie dziwić, że geograf amerykański nie dostrzega narodów europejskich, bo zapatrzonny w mapy widzi na nich tylko morza, niziny i góry. Ludzie na mapach nie są zazwyczaj oznaczani, to też próżnoby ich szukać w skonstruowanym za pomocą cyrka świecie prof. Rennera. Łagodna mania naukowca zamyka

STANISŁAW WILUCKI

O nowe drogi myśli polskiej

W Stanach Zjednoczonych istnieje 158 prywatnych organizacji, które studiują i opracowują zagadnienia powojenne. Jedną z nich, studiującą organizację przyszłego pokój, powstała w listopadzie 1939 r., a więc na dwa lata przed przystąpieniem Ameryki do wojny.

Żywotność myślowa Amerykanów, którzy jeszcze nie tak dawno czuli się izolowani od spraw europejskich, a dziś z prywatnej inicjatywy pracują nad planami powojennymi nie tylko dla swego kraju, ale na miarę światową — winna być wzorem dla nas.

Polska myśl w czasie tej wojny, zaabsorbowana polityczną obroną sprawy narodowej, niedostatecznie pracowała nad programem na przyszłość. Niewątpliwie tego rodzaju pracy nie sprzyjała płynność polityki międzynarodowej, niepewność tego, w jakich warunkach powstawać będzie nasz przyszły byt. Nie mniej jednak w zasadniczych rzutach można było wyrażniej precyzować, do czego dążymy, niż to czyniono dotychczas.

Wielka Brytania i Ameryka mają już w dorobku bogaty materiał prac programowych dla siebie i całego świata. Wiele z tych opracowań, które dotyczą przyszłej organizacji świata, cechuje jeszcze brak realizmu, a nawet naiwność, ale zawierają one pewne elementy, które mogą się przydać do rozwiązań praktycznych.

Co do nas, Polaków, nie chodzi nawet o to, byśmy budowali koncepcje światowe — aczkolwiek są one nieodłączne od problemów wewnętrznych. Wydałoby się, że zresztą własną tego rodzaju koncepcję, odnoszącą się do Europy Środkowej. Ważniejszą jest rzeczą ustalić dokładnie, jakiego rodzaju wartość chcemy przedstawiać w przyszłym ustroju światowym, niezależnie od tego, jakie on otrzyma oblicze.

W okresie tak przełomowym, jak obecny, nie wolno nam wstępować w nowe życie państwowe bez wyraźnych koncepcji, z uproszczonego przekonaniem, że jakoś się wszystko ułoży, a zwłaszcza z inercyjnym przywiązaniem do starych form Dwudziestolecia. Taka bierna postawa szkodliwaby nie tylko powojennemu procesowi życia narodowego, ale podważałaby zaufanie Zachodu do nas jako do poważnego partnera w organizowaniu świata. Podobnie jak jednostka, kandydując na wysokie stanowisko publiczne, nie może występować bez jasno określonego programu, tak i państwo w nowoczesnym ustroju świata nie może wchodzić do współpracy międzynarodowej jako niewiadoma dla siebie i dla partnerów.

Mówiąc o naszych koncepcjach, mamy na myśli dwie sfery problemów: dotyczące człowieka oraz form jego życia.

Do pierwszej sfery należąć będą koncepcje wychowania i życia umysłowego. Nie przesadzając samoradnego powstawania prądów myślowych nowego pokolenia, możemy ustalić, jaką głębię pragniemy dla nich przygotować w Polsce. Tu zrewidować musimy nasz dawny

mu oczy na ludzkie istnienia, nie pozwala słyszeć ludzkich dążeń i pragnień. Człowiek w tym świecie jest przypadkiem, najlepiej pozbyć by się go całkowicie, by nie mącił architektom misternego systemu bezpieczeństwa. Wtedy dopiero swobodnie i racjonalnie można by było pokroić kulę ziemską na wszelkie bryły, zalecane przez najnowsze recepty geopolitycznej higieny.

Istnieje cała gromada uczonych i idealistów, którzy w ten lub inny sposób zamierzają zbawiać ludzkość, wbrew lub mimo jej woli. Przypominają oni coraz bardziej legendarnego architekta greckiego, który po śmierci ukończonej żony zabrał się do budowania dla niej pięknego mauzoleum. Praca tak go pochłonięła, że nie ustawał w upiększaniu i przerabianiu budowli, aż wreszcie wyrzucił z niej trumnę ze zwłokami małżonki, gdy zaczęła zaważać realizację coraz dalszych i doskonalszych planów. I uczonym tym ludzie zaważają najwyraźniej, a skoro usunąć ich z powierzchni ziemi nie podobna, albo ich przemilczają, albo — czego prof. Renner daje przykłady znakomite — tak modelują i naginają rzeczywistość, by możliwie jak najmniej przekszadzała architektonicznym obliczeniom.

Dotychczas tę metodę spotykało się często w nauce historii, u tych zwłaszcza jej przedstawicieli, którzy wykrywali przeróżne „prawa dziejowe”, jeszcze zanim zdążyli zapoznać się dostatecznie z dziejami samymi. Nieraz lekki tylko retusz wystarczył i wszystko było „jak żywe”, nieraz trzeba było retuszu grubszego, i fakty historyczne po prostu fałszowano. Czyli to zresztą i bardzo wielu myśliciele i historyzofowie od niepamiętnych czasów, od Tucydidesa poprzez Hegla („Die Natur hat sich geirrt!”) i Marxa do niektórych mniej narazie sławnych pisarzy doby obecnej.

W ten też sposób postępuje amerykański geograf. O ludziach nie pamięta, narody przemilcza, dopiero na wielkie bloki zwraca nieco uwagi, całą treść ich życia, dążeń i interesów ugniatając tak, by nie wystawały poza linię, jakie przedtem na swej mapie narysował. Z naiwną radością chwytą wydarzenia bieżącej

stosunek do światowych prądów umysłowych; przemysleć, co nam stawało na przeszłości w zdobyciu horyzontów, potrzebnych człowiekowi, który ma myśleć kategoriami ogólnoludzkimi i dać własny, twórczy wkład do postępu świata. Tu zerwać musimy z wszelkimi, krepującymi nas więzami zaściankowego myślenia, utrudniającymi znalezienie wspólnego języka zarówno z przedstawicielem umysłowej elity Zachodu, jak i z przedstawicielem kultury wschodniej lub chińskiej.

Druga kwestia: form, w jakich nowy typ człowieka ma żyć i rozwijać się, dotyczy charakteru instytucji państwowych i społecznych (jaki wyraz praktyczny znajdują zasady demokracji), organizacji szkolnictwa, życia naukowego i kulturalnego, organizacji życia gospodarczego, polityki społecznej, kontaktów ze światem i t. p., słowem wszystkich warunków egzystencji społecznej.

Nad wieloma z tych zagadnień, oczywiście, pracują specjalne resorty rządowe, ale nie jest powiedziane, że specjaliści, którzy z urzędu ustalają zasady i opracowują programy, czynią to w sposób nie wymagający korekty. Nie jest powiedziane, że w okresie rodzenia się nowego świata, któremu większość starych zasad i form nie będzie zupełnie odpowiadać, ludzie obciążeni rutyną potrafią nieomylnie, odgadnąć to, czego ta nowa epoka będzie wymagała. To też uaktywnić się w tych sprawach powinna również myśl nieurzędowa, choćby nawet brak jej było specjalizacji w danych dziedzinach. Czasem wysiłek dobrej woli i moment skupienia niespecjalisty wydaje owoc głębszej intuicji. A ileż jasnych spojrzeń w przyszłość dać może współpraca dobrowolnie stworzonych zespołów ludzi, pełnych inicjatywy i zapału, zwłaszcza umysłów młodych, wolnych od nawyków przeszłości. Ileż w ich dyskusjach może się narodzić koncepcji, które zapiodnią umysły specjalistów.

Idźmy za przykładem śmiałych wysiłków, podejmowanych przez literatów i publicystów Zachodu, którzy nie wahają się kreślić najbardziej rewolucyjnych koncepcji w dążeniu do odnalezienia właściwych dróg postępu.

Jedno jest pewne: stary świat umarł — a rodzi się nowy. Któż odsoni może oblicze, jeśli nie ludzie, którzy mocno tkwią w teraźniejszości i nie oglądając się na przeszłość, zapragną nowych warunków rozwoju, sprzyjających wolnemu pędowi myśli na szlakach prawdy. By nie zbłądzić w szukaniu tych warunków, musimy mieć oczy utknięte w najwyższy cel społeczny: zburzenie przegród ideowych i emocjonalnych dzielących i różniących ludzi na świecie. Sharmonizowanie z sobą olbrzymiej mozaiki myśli i uczuć ludzkości może się dokonać pod warunkiem, że nowe pokolenie potrafi wyzwoleć się od fanatyzmu przekonań i międzyludzkich uprzedzeń, wynikających z różnicy rasy, narodowości, religii, środowiska myślowego i wszelkich innych podziałów. Ale przemiana taka nie da się osiągnąć bez gruntownej przebudowy warunków

chwili, które z absolutną pewnością potwierdzają prawdziwość jego pomysłów. Daje w ten sposób żywy i prawie namacalny przykład tego, jak powstają różne „historyczne prawa”. Presja brytyjska i amerykańska na Portugalię i Hiszpanię, wysiłki w celu ułatwienia powrotu Włoch do rodziny europejskiej — to dla prof. Rennera nie tylko praktyczne posunięcia polityczne, podyktowane przede wszystkim potrzebami toczącej się wojny, ale manifestacja ducha ententy zachodnio-europejskiej pod kierownictwem... anglo-francusko-holenderskim. A już chyba zupełnie bezceremonialnie postępuje sobie z rzeczywistością, dowodząc, jak to istnienie potężnych Chin harmonizuje z najistotniejszymi interesami Związku Sowieckiego w Azji.

Plany prof. Rennera, przez oderwanie swe od podłoża rzeczywistości, mają oczywiście dookładnie tyle szans realizacji co utopia Wellsa; nacechowane są tylko innym, znacznie mniej szlachetnym duchem. W tym też tkwi ich szkodliwość, jeżeli zadaniem utopii jest zapładnianie praktycznej myśli ludzkiej. Szkodliwość tym większa, że prof. Renner uchodzi za wybitnego przedstawiciela współczesnej nauki, a tu i ówdzie pasowano go już na amerykańskiego Haushofera.

Na profesorów narzekał już kiedyś — jak się później okazało nie bez racji — Heine. Były premier włoski (sam zresztą profesor), Francesco Nitti, pisał, że sam spędził prawie całe swe życie na uniwersytetach. Znał wszystkich prawie najwybitniejszych uczonych Europy, a z wieloma z nich był w bliskich stosunkach osobistych. „Jakże często uderzała mnie pytkość i brak treści ich uroczyste wypowiedzianych sądów politycznych. O ile częściej słyszałem zdrowe i ciekawe zdania od rzemieślników lub drobnych sklepikarzy”.

Po naukowym łądzie świata prof. Rennera pozostaje chyba myśleć o błogosławionych czasach kanclerza Oxenstierny, kiedy bezmiar głupoty rządził narodami.

Na szczęście nie jesteśmy jeszcze od nich zbyt odlegli.

politycznych i kulturalnych, w jakich nowe pokolenie będzie wzrastać.

Jeszcze kilka lat temu nie odważyliśmy się publicznie poruszać tych perspektyw, które — aczkolwiek wyrażają konieczność dziejowego postępu — nie wykraczały poza granice utopii. Obecnie nie tylko przestają być utopią, ale narzucają się myśli rozumnej jako logiczne ultimatum. Po straszliwych doświadczeniach progresywnego tempa katastrof wojennych nikt nie może mieć złudzeń, że cywilizacja nasza tylko wtedy uniknie zagłady, jeśli w świecie nastąpi harmonia myśli i współżycia. Zdają sobie z tego dokładnie sprawę najbardziej trzeźwe umysły polityków i wskutek tego nakazu logicznego dążą do takiej przebudowy stosunków powojennych, któreby uczyniły możliwą w świecie harmonijną współpracę na wszystkich polach myśli i akcji.

Możemy przewidzieć odpowiedź, że nad Polską zbierają się zbyt ciężkie chmury, by można było wymagać od nas tworzenia słonecznych obrazów przyszłości. Otóż nie, rzecz się ma wprost przeciwnie: mamy tylko dwie drogi do wyboru: albo zrezygnować z narodowej egzystencji, albo właśnie konsekwentnie walczyć dalej o „ideały”, które dawniej streszczały się w hasła „waszej i naszej wolności”, a dziś — w miarę przemian światowych, wywołanych obecną wojną — mogą iść jeszcze dalej — ku waszej i naszej jedności.

Jeśli ciężkie chmury zawisły nad Polską — to wiszą one i nad całym światem, gdyż bezpieczeństwo zasad ideowych świata jest niepodzielne. I to, cośmy powiedzieli o twardej konsekwencji logicznej, narzucającej się umysłom polityków, każe nam wierzyć, że ci, którzy mają moc realizowania zasad demokracji w świecie, a którzy w obronie demokracji wszystko postawili na kartę i dziś są zwycięzcami — nie dopuszczą do burzy.

Zbyt dużo położyliśmy ofiar w obronie ideału, by dziś pod wpływem niebezpieczeństwa tonąć myślą w brutalnym realizmie obecnej chwili. Biermy przykład z młodego pokolenia Polski Podziemnej, które mimo iż żyje w największym odcieciu przytłaczającego nas zła — nie tylko nie utraciło wiary w ideał, ale śmiało rzutami myśli wyrąbuje sobie, Polsce i światu jasne szlaki w przyszłość, właśnie ku tym celom ogólnoludzkim, o których mówiliśmy wyżej.

Jeśli zaś chodzi o bezpośrednią skuteczność naszej aktywności ideowej w tym kierunku — to i ona jest zupełnie wyraźna. Musimy zadokumentować światu Demokrację, że podążamy w pierwszym szeregu na drodze do realizacji jej celów. Wiemy, jak zasadniczą rolę w polityce państw anglosaskich odgrywa ich opinia publiczna. Zdobyć tej opinii dla nas jako dla światłych wyznawców prawdziwego postępu, będzie osiągnięciem niemałej wagi, utrwalającym w tej opinii przekonanie, że jesteśmy wiernym i cennym towarzyszem broni w walce o zasady tego postępu.

WITOLD SZYMANSKI

PROBLEMY BAŁKAŃSKIE*)

JUGOSŁAWIA

Z chwilą powstania w końcu listopada 1943 r. rządu tymczasowego, złożonego ze zwolenników Józefa Broz-Tito, wojna domowa, tocząca się od dłuższego czasu pomiędzy partyzantami a czetnikami, przestała być sprawą wewnętrzną Jugosławii by stać się jednym z najbardziej palących swą aktualnością problemów obozu Narodów Zjednoczonych. Podobne zagadnienia bowiem istnieją lub mogą istnieć we wszystkich niemal państwach Europy Środkowej. Sprawa jugosłowiańska rzuca ciekawe światło na prądy ideowe na Bałkanach i pozwala domyślać się, choć w pewnym tylko stopniu, jaki będzie przyszły układ sił na tym terenie.

Walka pomiędzy partyzantami marszałka Tita a czetnikami generała Michałowicza ma dwa jakże podłoża: społeczne i narodowościowe. Oba ruchy powstały po klęsce armii jugosłowiańskiej w kwietniu 1941 r. i po podziale Jugosławii pomiędzy czterech partnerów: Rzeszę Niemiecką, Włochy, Węgry i Bułgarię. Z reszty utworzono małą Serbię z Nedićem na czele i wielką Chorwację, obejmującą oprócz Chorwacji właściwej całą prawie Bośnię, pod rządami „poglawnika” Pawelicza. W ciągu długich lat przed wybuchem wojny obecnej, Pawelicz, wódz ustaszów, był na utrzymaniu Mussoliniego i zajmował się organizowaniem zamachów terrorystycznych na terenie Jugosławii oraz propagandą antyserbską. Morderstwo króla Aleksandra było jego dziełem. Ten to zawodowy morderca został z łaski Hitlera dyktatorem nowopowstałej „niezależnej” Chorwacji. Pierwszym przejawem jego polityki była likwidacja prawosławnego elementu serbskiego w Bośni, liczącego około miliona ludzi. Z bezprzykładnym okrucieństwem ustaszy wycięli w pięć kilkanaście tysięcy bezbronných Serbów (według różnych obliczeń od 400.000 do 800.000 ludzi). Rzeź Serbów Bośniackich jest niewątpliwie jedną z najbardziej ponurych kart w historii narzuczonego Europie nowego porządku niemieckiego, wynik jej przy tym był dla Chorwatów całkiem nieoczekiwany: komuniści, operujący dotychczas w środkowej Serbii, w okolicach Czaczaku, przenieśli się do Bośni i zaczęli organizować oddziały partyzanckie z chłopów, uciekających w góry przed mordercami. Oddziały te, złożone z ludzi, nie mających nic do stracenia, a świetnie dowodzonych, dały się ustaszą bardzo we znaki i stały się zaczątkiem obecnej armii Tita. Ruch partyzancki, utrzymawszy się w Bośni, zdobywał dla siebie coraz to nowe tereny działalności, aż zetknął się w Czarnogórze z czetnikami gen. Michałowicza. Armia czetników powstała z resztek regularnej armii jugosłowiańskiej i przez pierwsze miesiące po rozbiore państwa stanowiła najpoważniejsze centrum oporu na całym terytorium Bałkanów, wzbudzając podziw całego świata. Dowódca czetników, pułkownik Michałowicz, wkrótce został mianowany generałem i ministrem wojny rządu jugosłowiańskiego w Londynie. Po początkowych sukcesach Michałowicz zmienił taktykę, stopniowo zmniejszając zakres działania swych czetników, aż wreszcie zupełnie zrezygnował z większych operacji, oświadczył równocześnie gotowość wywołania ogólnego powstania w chwili inwazji Sprzymierzonych na Bałkany. Na decyzję Michałowicza wpłynęły niewątpliwie dwa czynniki: trudności w zaopatrzeniu i straszliwe represje, dokonywane przez Niemców na bezbronnej ludności cywilnej. Ta decyzja jest do pewnego stopnia zrozumiała, jeśli się zważy, że główną jej przyczyną była prawdopodobnie chęć uniknięcia niepotrzebnego rozlewu krwi, lecz jej skutki dla samej armii były opłakane. Bo jeśli prawdą jest, że regularne wojsko demoralizuje się, gdy jest trzymane zbyt długo na tyłach, tym bardziej musi to być prawdziwe w wypadku wojska nieregularnego, obozującego z dala od miast i nie mającego żadnej możliwości zajęcia się jakąkolwiek pracą. Jasne, że nieodzownym warunkiem istnienia takiego wojska jest walka.

W ciągu roku 1942, gdy o czetnikach Michałowicza słyszało się coraz mniej, o partyzantach Tita było coraz głośniejsze. Partyzanci napadali na pomniejszych garnizony włoskie i niemieckie, wysadzali w powietrze mosty, wykolejali pociągi, tępili zdrajców, współpracujących z okupantami. Represje, dokonywane na ludności cywilnej, zupełnie nie wpływały na ich działalność. Tymczasem usiłowano stworzyć dla ruchu partyzanckiego szerszą podstawę polityczną. W tym celu założono w Bihacu, w listopadzie 1942 r., Jugosłowiański Antyfaszystowski Komitet Oswobodzenia pod przewodnictwem znanego polityka, dra Ivana Rybara, marszałka Sejmu Konstytucyjnego Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców w r. 1918. Ogłoszono zasadę zjednoczenia wszystkich partii we wspólnej walce przeciwko okupantom, co w płaszczyźnie politycznej równało się utworzeniu frontu ludowego. Uparta walka partyzantów zwróciła na siebie uwagę brytyjskich władz wojskowych, które zeszłego roku na wiosnę wysłały oficerów łącznikowych do głównej kwatery Tita. Wreszcie, po dwóch latach walk, nadeszła wielka

chwila: kapitulacja Włoch. Partyzanci skorzystali w całej pełni z olbrzymiego bałaganu, spowodowanego wycofaniem się z akcji i rozbrojeniem kilkunastu dywizji włoskich na Bałkanach. Zdobyli oni na Włochach wielkie ilości broni i amunicji i kilku śmiało uderzeniami opanowali, choć przejściowo, całe prawie wybrzeże dalmatyńskie. Te operacje zdobyły partyzantom rozgłos i zmusiły Niemców do rozpoczęcia przeciwko nim działań na wielką skalę. Po sześciu kolejnych ofensywach Niemcy nie zdołali jednak uzyskać żadnych poważniejszych rezultatów.

Po kapitulacji Włoch ruch Tita szybko nabiera wielkiego znaczenia, nie tylko wojskowego, ale i politycznego. Radiostacja „Swobodna Jugosławia” zaczyna nadawać codziennie komunikaty kwatery głównej Narodowej Armii Oswobodzenia; szereg znanych osobistości ze świata politycznego i kulturalnego, jak np. wydawca belgradzkiej „Polityki”, Władysław Ribnikar, znany rzeźbiarz chorwacki, Augustin Augustinčević i inni zgłaszają swój akces. W listopadzie dowódca wojsk alianckich na Bliskim Wschodzie, gen. Sir Maitland Wilson ostrzega „ludzi, którzy plamią imię czetnika, pomagając Niemcom w ich daremnych usiłowaniach zgniecenia armii oswobodzenia”, i wreszcie 28 listopada 1943 r. powstaje w Jajcie tymczasowy rząd pod nazwą Komitetu Oswobodzenia Narodowego. W kilka dni później nowy rząd oświadcza, że przestaje uznawać rząd jugosłowiański w Kairze z powodu wrogiego stosunku tego rządu do ruchu oswobodzenia narodowego i szkodliwej dla sprawy oswobodzenia działalności ministra wojny, gen. Michałowicza; o powrocie króla Piotra do Jugosławii ma zdecydować naród.

Stanowisko rządu brytyjskiego, określone w przemówieniach premiera Churchilla i ministra spraw zagranicznych, Edena, jest jasne. Wielka Brytania wspiera i będzie wspierać narodową armię oswobodzenia, walczącą pod rozkazami marszałka Tita, jak wspiera wszystkich tych, którzy walczą przeciw Niemcom; Wielka Brytania nie zamierza wywierać wpływu na wybór form ustrojowych w Jugosławii; Wielka Brytania nie opuszcza jednak króla Piotra („we cannot dissociate ourselves from him in any way” — powiedział prem. Churchill).

A więc sytuacja przedstawiała się w sposób następujący: Armia Oswobodzenia Narodowego w Jugosławii, licząca 300.000 ludzi i wiążąca obecnie kilkanaście dywizji niemieckich, cieszyła się pełnym poparciem Sprzymierzonych, a marszałkowi Tita przyznane zostały wszelkie prawa, przysługujące przywódcom wielkich jednostek wojskowych Aliantów; Komitet Oswobodzenia Narodowego nie był oficjalnie uznany przez Sprzymierzonych, lecz miał wielu sympatyków za granicą, zwłaszcza w kołach lewicy angielskiej, komitetów wszechsłowiańskich, działających w Moskwie i w Londynie, oraz pewnej części emigracji serbsko-chorwackiej w Anglii, a zwłaszcza w Ameryce, gdzie nawet powstał zblizony ideologicznie ruch pod kierownictwem znanego pisarza, Ludwika Adamicza.

Jeżeli chodzi o skład osobowy Komitetu, wydaje się być prawdą, że biorą w nim udział ludzie należący do różnych ugrupowań politycznych, i że obok znanych działaczy komunistycznych zasiadają także katolicy i prawosławni. Nie wiadomo tylko, jak słusznie podkreśla „Economist”, kogo ci ludzie reprezentują.

U boku Michałowicza również działa komitet polityczny, na czele którego stoi Dragisa Wasycz, adwokat z Belgradu, uważany przez zwolenników Tita za przedstawiciela t. zw. panserbizmu i najczarniejszej reakcji. Sam Michałowicz jest niewątpliwie jedną z najbardziej romantycznych i pięknych postaci we współczesnej historii serbskiej. Odnaczonego najwyższymi odznaczeniami bojowymi podczas pierwszej wojny światowej, po wojnie zaliczany do najzdolniejszych oficerów armii jugosłowiańskiej, zyskał opinię śmiałego nowatora i wybitnego teoretyka w dziedzinie sztuki wojennej. W Sofii, gdzie przez parę lat był attaché wojskowym przy poselstwie jugosłowiańskim, znany był jako człowiek o bardzo liberalnych poglądach i jako zwolennik szczerego porozumienia i współpracy pomiędzy Bułgarią a Jugosławią. W opinii niektórych pism angielskich Michałowicz jest po prostu wódzem wojującego panserbizmu, nie należy jednak zapominać, że jego obecna pozorna rola jest wynikiem nie tylko jego działalności. Trudne położenie Michałowicza ma swoje częściowe wytłumaczenie w pewnych rozbieżnościach ideologiczno-politycznych, istniejących w obozie Narodów Sprzymierzonych, głównie zaś wynikało na gruncie nieporozumień wśród kół emigracyjnych i błędów politycznych polityków jugosłowiańskich przed i w czasie tej wojny.

Jak wiadomo, w przededniu obecnej wojny doszło wreszcie do porozumienia pomiędzy rządem belgradzkim a Chorwatami. Leader chorwackiej partii chłopskiej, Maczek, przyjął stanowisko wicepremiera w gabinecie Dragisy Cwetkowića, a pięciu innych Chorwatów otrzymało teki ministerialne. Miały się odbyć nowe demokratyczne wybory, Chorwacja miała otrzymać autonomię. W ten sposób długoletni spór pomiędzy Serbami a Chorwatami, zatruwający życie polityczne Jugosławii, został zakończony ku zadowoleniu obu stron, a równocześnie skończył się okres rządów dyktatorskich, zapoczątkowany przez króla Aleksandra w r. 1928. Projektowane reformy państwowe nie doszły jednak do skutku z powodu wojny, a ponieważ były uchwalone pod naciskiem niebezpieczeństwa ze strony Niemiec, nie miały — niestety — należytego efektu moralnego i propagandowego.

Pomimo tragicznego zakończenia krótkotrwałej kampanii jugosłowiańskiej i podziału kraju pomiędzy okupantami sprawa przyszłego przekształcenia się Jugosławii w państwo federacyjne i demokratyczne zdawała się być na dobrej drodze, gdyby nie nieporozumienia, wynikłe w kołach polityków emigracyjnych. Istnieją wszelkie dane by przypuszczać, że częste przesilenia rządowe były powodowane właśnie sprawą przyszłego ustroju federa-

cyjnego oraz antagonizmem serbsko-chorwackim. Żaden z jugosłowiańskich gabinetów emigracyjnych nie zdobył się na sformułowanie i ogłoszenie zasad przyszłego ustroju Jugosławii. O sprawie federacji prawie że nie mówiono nawet wtedy, gdy pojawił się na widowni Tito. Partyzanci natomiast śmiało wysunęli projekt podziału Jugosławii na siedem autonomicznych części, czym zyskali sobie sympatie wśród Chorwatów, Słoweńców, mahometan bośniackich i Macedończyków, jednocześnie skorzystali z okazji, by oskarżyć rządowe koła emigracyjne o reakcyjność i chęć powrotu do dawnych metod rządzenia. Jak widać z powyższego, emigracyjni politycy jugosłowiańscy wykazali zadziwiający brak przewidywania i inicjatywy, co wynika również i z faktu, że zarzucając Titowi terroryzm i działania na szkodę państwa, równocześnie nie zrobili nic, by nie dopuścić do zgrupowania się około niego większości czynnie antyniemieckich elementów państwa.

Czy zarzuty zwolenników Tita pod adresem rządu jugosłowiańskiego w Kairze i odwrotnie były słuszne, tego nie możemy wiedzieć. Faktem jest jednak, że postępowanie tego rządu nie przyczyniło się do usunięcia pewnych wątpliwości co do jego niechęci kontynuowania współpracy z Chorwatami na zasadach równouprawnienia i demokracji. By zrozumieć, jakie niebezpieczeństwo niesie ze sobą takie oskarżenie, należy pamiętać, że dwudziestoletnie rządy Serbów w Jugosławii nie pozostawiły dobrych wspomnień wśród Chorwatów, Słoweńców i Macedończyków. Serbowie słusznie uważają się za przedstawicieli i wykonawców idei zjednoczenia Słowian południowych w jednym państwie, ponieważ ostatni na Bałkanach ulegli przemocy Turków, pierwsi wśród Słowian południowych zdobyli niepodległość, a w ciągu całego XX-go stulecia walczyli o wyzwolenie swych uciśnionych braci, przejmując na siebie cały ciężar walki z Cesarstwem Austriackim. Gdy jednak wyzwolenie Serbów, Chorwatów i Słoweńców doszło do skutku, Serbowie postarali się o to, by kierownictwo nowo utworzonego państwa pozostało w ich rękach. Chorwaci i Słoweńcy znaleźli się w mniejszości, a wpływ ich na sprawy publiczne, nawet w zakresie miejscowym, był bardzo utrudniony. Poza tym wytworzyło się rozgorczenie z powodu nierównego na początku opodatkowania, co było do przewidzenia, albowiem Serbia była zupełnie zrujnowana przez wojnę. Chorwaci domagali się zreorganizowania państwa na zasadach federacyjnych i złościwie twierdzili, że nawet za czasów austriackich mieli więcej swobody niż w nowym królestwie. Niepokój doszedł do punktu kulminacyjnego w r. 1928, gdy przywódca Chorwatów, Radicz, leader partii chłopskiej, został zamordowany podczas posiedzenia parlamentu w Belgradzie. Król Aleksander rozpoczął oddał rządy osobiste, które trwały aż do jego śmierci z rąk terrorystów chorwackich w r. 1934.

Wprowadzając dyktaturę osobistą, miał król na celu przede wszystkim utrzymanie porządku publicznego, następnie zaś usunięcie rywalizacji i niechęci i doprowadzenia do prawdziwej jedności narodowej w państwie. W tym celu zmienił samą nazwę państwa — zamiast „Królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców”, „Jugosławia”, wprowadził nowy podział administracyjny i starał się wszelkimi środkami, zwłaszcza przez odpowiednie wychowanie młodzieży, łagodzić konflikty narodowościowe. Nawet gdyby praca króla nie została przerwana jego tak tragiczną śmiercią, jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy udałoby się doprowadzić do pożądanego rezultatu przy stosowaniu tak mechanicznych metod. Nieporozumienia bowiem pomiędzy Serbami a Chorwatami polegają nie tylko na rywalizacji o wpływy w państwie, lecz na głębokiej odrębności poglądu na świat i kultury, choć z drugiej strony ich przynależność do tej samej rodziny narodowościowej jest niewątpliwa. Chorwaci i Słoweńcy po długich wiekach współżycia z narodami monarchii austro-węgierskiej są o wiele bardziej zbliżeni do Zachodu niż Serbowie; Chorwaci są katolikami, Serbowie zaś prawosławni z wyraźnym nalożeniem obyczajowym grecko-tureckim. Tak wyglądało to narodowościowo, które Tito umiał w mistrzowski sposób wyzyskać dla wzmocnienia kierowanego przez siebie ruchu.

Jeśli chodzi o czysto polityczne znaczenie ruchu partyzanckiego, należy zaznaczyć, że spotkał się on z nieufnością wielu sfer zarówno jugosłowiańskich, jak i zagranicznych, nie tyle z przyczyn programowych, bo oficjalnego programu ruchu nie można określić jako komunistyczny, ile z powodu udziału w Komitecie Oswobodzenia znacznej ilości starych i znanych działaczy komunistycznych, z Titem na czele. W tym miejscu stwierdzić wypada, że narzucenie Jugosławii ustroju komunistycznego byłoby trudne i niebezpieczne. Chłop chorwacki, a zwłaszcza serbski, jest zażartym indywidualistą, jego lewicowość nie jest żadnym komunizmem, lecz swoistą i bardzo bałkańską odmianą socjalizmu chłopskiego. Również sympatie dla Rosji, duże w niektórych częściach Jugosławii, nie są nigdzie równoznaczne z chęcią przejścia rosyjskiego ustro-

(dokończenie na str. 11)



*) Por. nr. 3 (21) „W drodze” — Bułgaria, 7 (25) — Rumunia, 8 (26) — Grecja, 10 (28) — Turcja.

JERZY LARREN-LENCZOWSKI

LISTY Z PERSJI

Wilno i Lwów w Teheranie

Czy ma jakiś sens propaganda np. wśród Patagończyków? Pytanie to jest dobrane specjalnie złośliwie, autor przyznaje to z góry. Normalna odpowiedź na to będzie przeważnie taka: wzruszenie ramion i słowa: — „No, wie Pan, co jak co, ale Patagonia Polski nie zbawi, to też szkoda na to czasu i pieniędzy”. — Odpowiedź i słuszną i niesłuszną. Słuszną, gdyż istotnie Patagonia Polski nie zbawi. Niesłuszną, gdyż... Tutaj już należy się nieco dłuższy wywód. Propaganda jest bronią psychologiczną. Jako taka ma za zadanie zastrzyknięcie pewnych idei w mózgi ludzkie. Jej idealnym celem jest, by jak najwięcej mózgów wyznawało tę ideę, jaką propaganda głosi. Chodzi tu przede wszystkim o znajomość rzeczywistych faktów, o właściwą ich ocenę (oczywiście z punktu widzenia propagandy) i o odpowiednią dyspozycję woli. Pozostawienie pewnej grupy mózgów na uboczu, wyrzeczenie się z góry zasilenia ich informacją, jest stwarzaniem niebezpiecznej luki w tym oddziaływaniu psychologicznym, jakim jest propaganda. Myśl bowiem ludzka nie zna granic terytorialnych czy rasowych. Żyjemy w epoce, kiedy w działaniach wojennych, a więc przy czysto materialnym oddziaływaniu na wroga, nie jest już obojętne, co się dzieje o tysiące mil od teatru walki. Rommowi w Libii na pewno nie było obojętne, czy amerykańskie okręty z zaopatrzeniem dla armii gen. Montgomery'ego szły przez morze Śródziemne, czy okrążają Afrykę przez Capetown. Tak samo Montgomery'emu nie było obojętne, czy szwedzkie fabryki produkują łożyska kulkowe dla „Panter” Rommła. Cóż dopiero powiedzieć o sferze duchowej, gdzie wszystko się tak zaszewnia, gdzie współzależność idei jest od dawna znaną rzeczywistością. W propagandzie chodzi o to, by każdy człowiek myślący był na pewien temat właściwie poinformowany. Trzeba o to dbać, gdyż ignorancja jest rzeczą niebezpieczną. Należy przy tym pamiętać, iż propaganda wroga zawsze może taką ignorancję wyzyskać i osobie lub grupie przez nas zlekceważonej przedstawić własny punkt widzenia. Nie lekceważmy zatem Patagonii. Gdy miesiąc temu rozmawiałem dłużej w Teheranie z czarnym korespondentem wojennym piętnastu wielkich dzienników murzyńskich w Stanach Zjednoczonych i powiedziałem mu trochę mało znanych szczegółów o ludzkim stosunku Kościuszki do murzynów amerykańskich, miałem głębokie przekonanie, że nie robię rzeczy bezcelowej, jakkolwiek paradoxałna ta sytuacja mogłaby się komuś wydać.

Jak zaznaczyłem wyżej, Patagonia była tylko złośliwym przykładem. Dziś chcę mówić o Persji, kraju wprawdzie bardzo od Polski odległym i bardzo niewiele mającym wpływu na wielkie wydarzenia polityczne, nas dotyczące, ale — kraju, który ma wiele problemów, analogicznych do Polski. Tempora mutantur, ale nie wiadomo, jaki plon może przynieść ziarno, gdzieś na pozór przypadkowo posiane. Dodajmy do tego, że Iran w czasie wojny jest główną drogą tranzytową do Rosji, że Teheran roi się od oficerów, dyplomatów i dziennikarzy brytyjskich i amerykańskich, że Teheran stał się jednym z gorąco pulsujących punktów Azji. Dlatego też warto było zadać sobie nieco trudu, by temu zespołowi ludzkiemu w stolicy Persji powiedzieć coś o Polsce.

Słowem, któreby tu właściwie więcej pasowało, byłoby: „pokażać coś z Polski”. Taki bowiem cel miała wystawa fotograficzna p. t. „Piękno Polski”, zorganizowana nie dawno pod auspicjami Wydziału Prasowego Poselstwa R. P. w Teheranie. Wystawa obejmowała ponad sto pięćdziesiąt plansz fotograficznych, przedstawiających wszystkie ważniejsze miasta i dzielnice Polski. Kolorowe reprodukcje pejzażów, arcydzieła malarstwa polskiego i parę pięknych akwareli teherańskiego malarza-amatora, sędziego Kasinińskiego, barwnie uzupełniały wystawę. Licznie przybyli na wernisaż Irańczycy i Anglosasi mieli możliwość wyrobienia sobie poglądu, jak wygląda ten kraj, który nie daje spokoju politykom i dziennikarzom. Dla tych, którzy z oglądanych eksponatów pragnęli wyciągać pewne wnioski, nie brakuło materiału. Anglicy przejawili wielkie zainteresowanie zdjęciami z Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Cracow University”, jego stare mury i patyna wieków — silnie apelowały do tych, którzy spędzili swą młodość w murach Cambridge czy Oxfordu. Amerykanie, — ci z drapaczów nowojorskich — długo wpatrywali się w wizerunek Ostrej Bramy i kaplicy Boimów. A gdy w parę dni później odwiedzał wystawę poseł Wolnej Francji, wyrwały mu się charakterystyczne słowa: „Mais, vous savez, Monsieur, c'est peu russe”. Poseł stał właśnie przed fotografią kościoła św. Anny w Wilnie...

O pionierstwie słów parę

Polska była krajem chłopów, urzędników i oficerów. Była może jeszcze krajem poetów. Ale nie była na pewno krajem kupców i przemysłowców. Ale nie tylko to. W Polsce Wokulski był dużo mniej popularny od Skrzetuskiego. I jeżeli młodzież uczono patrzeć na Wokulskiego z pewnym szacunkiem, to było w tym stosunku do niego coś z niedowierzania.

Albowiem wyjazd na wojnę turecką i zrobienie fortuny na dostawach wojskowych było zaliczane dużo bardziej do krainy fantazji, niż powtórzenie się rycerskich harców z szabłą w ręku na Dzikich Polach. Tym też prawdopodobnie należy sobie tłumaczyć, dlaczego stosunek polskich oficjalnych placówek zagranicznych przed wojną do polskiego kupca w obcym kraju był nacechowany biurokracją i nieufnością. Polak, handlujący lub fabrykujący coś zagranicą — o, to już podejrzana historia. Tymczasem naród nasz potrzebował pionierów na polu ekonomicznym. Niestety, często to pionierstwo było nie tylko pionierstwem w meritum handlu lub przemysłu, lecz także — jakże ciężkim — wyrąbywaniem sobie drogi wśród biernego oporu wszelkiego typu — jak mówi Pruszyński — urzędasów.

Szacunkiem cieszyli się z zasady nie ci, co walczyli o byt i starali się coś pozytywnego zbudować na obcym terenie, ale ci, którzy już po pokonaniu niezliczonych przeszkód dorobili się. Wtedy to „Pana Dyrektora” widziało się chętnie w konsulatach i t.p. placówkach, lecz „Pan Dyrektor” tych panów już w tym stadium niewiele potrzebował i bywał w polskim urzędzie raczej z kurtuazji. Jakże często można było wówczas usłyszeć od niego takie dumne słowa: „Mnie, proszę pana, w tamtych ciężkich czasach kasa na pierwszego nie wypadała. To, co mam, zawdzięczam wyłącznie sobie samemu. Te dziesięć palców i głowa — oto był cały mój majątek”. „Pan Dyrektor” był pewno zbyt zajęty pracą i dorabianiem się, by mieć wiele czasu na historyczną lekturę. Gdyby jednak kiedy przypadkiem natrafił na książkę o historii brytyjskiej Levant Company, toby się dowiedział, że nie wszędzie i nie zawsze bywało tak, jak w jego wypadku. Dowiedziałby się na przykład, że już w XVII wieku Anglia wysłała do Syrii, Palestyny, Turcji i Egiptu konsułów, by pilnowali interesów Kompanii, i że konsułowie ci byli płatni nawet z fundusów Kompanii. Mógłby sobie wyobrazić zatem, jaki był wówczas stosunek urzędnika do „petenta”.

Pionierzy jednak przeważnie nie czytują historii i może są z tym bardziej szczęśliwi, gdyż oszczędza im to gorzkich porównań. W czasie obecnej wojny pionierstwo handlowe Polaków prawie nie wchodzi w rachubę, gdyż mężczyźni, zdolni do noszenia broni, poszli do wojska. Ci zaś, którzy znalazłszy się zagranicą, nie są w wojsku lub w urzędach, korzystają w pełni z szeroko rozbudowanego aparatu opieki społecznej, powołanego do życia w związku z problemem uchodźczym. Dziś nie ma na emigracji Polaka lub Polki, którzyby groziła śmierć głodowa. Każdy wie, że może otrzymać i zasiłek i — zależnie od terenu — mieszkanie i utrzymanie w obozie uchodźczym. W tych warunkach tym bardziej godnym jest wyróżnienia człowiek, który mając w ten sposób zapewniony byt, szuka pracy i przejawia czynny stosunek do życia.

Przyjemnie jest stwierdzić, iż właśnie na terenie perskim, gdzie tak łatwo można utonąć w morzu uchodźczym, znalazł się człowiek, którego żywotności nie zmogła ani Syberia, ani więzienie, ani łatwizna bytowania uchodźczego. Wacław Dominik Konopacki, były właściciel fabryki dykt w Polsce, nie mógł znieść nudy bezczynności po przybyciu do Persji z Rosji. Postanowił zastosować swe umiejętności fachowe w nowym dla siebie kraju i po dłuższych staraniach przystąpił do budowy pierwszej w Iranie — i bodaj na całym Środkowym Wschodzie fabryki dykt. Iran spro-

wadzał dotychczas dykty wyłącznie z zagranicy, a w czasie wojny import ten prawie że zupełnie ustał. W kraju tym znajduje się natomiast wiele wspaniałego surowca: drzew orzechowych. Podjąć się budowy fabryki w Iranie w okresie wojennym było nielada przedsięwzięciem: brak maszyn i narzędzi, brak wykwalifikowanych sił, trudności z robocizną. Konopacki jednak przewidział wszystko, wykalkulował wszystko, sam wyprodukował narzędzia, potrzebne do budowy, i postawił na swoich. Dziś już na jednym z przedmieść Teheranu działa fabryczka, poruszana motorem spalinowym, i czeka tylko na dostawę większej partii surowca z Mazanderanu, by ruszyć całą parą. Konopacki układa się już z drugim poważnym przedsięwzięciem celem zbudowania parokrotnie większej fabryki dykt. W tej nowej imprezie ma być już zaangażowany kapitał amerykański. Messieurs, chapeaux bas!

Persja pachnie naftą

Skoro już mowa o pionierach, nie zapomnijmy, że Persja stanowi od dawna teren, gdzie znajdowała ujęcie przedsiębiorczość ludzi z Zachodu. Poszczególne etapy nowożytnego rozwoju Persji są znaczone nazwiskami Europejczyków, Amerykanów, Australijczyków. Reuter założył pierwszy bank w Persji, Shuster zorganizował administrację skarbową, D'Arcy uzyskał pierwszą koncesję naftową. To jednak, co najbardziej przyciągało do Persji obcych przybyszów, to były bogactwa ziemi, a przede wszystkim nafta. Jak większość terenów naftowych na świecie, Persja została podzielona na sfery wpływów. W Persji podział pobił między południem a północą: południe dostało się pod wpływ Anglo-Iranian Oil Company, północ — początkowo pod wpływ rosyjskie, potem amerykańskie, dzisiaj zaś pod sowieckie, aczkolwiek tereny północne nie są w obecnej chwili objęte żadną koncesją naftową. Po wycofaniu się w r. 1937 z północnej Persji Amiranian Oil Co. wydawało się, że sprawy nafty perskiej są definitywnie załatwione i przesądzone: na południu ropę eksploatowali Anglicy, eksploatacja zaś na północy dla innego państwa niż Rosja okazała się nieopłacalna. Taki stan rzeczy trwał do roku 1944, kiedy to nagle sprawa nafty perskiej wypłynęła na porządek dzienny. Okazało się (o czym laicy mało wiedzieli), że koncesja Anglo-Iranian nie rościła się bynajmniej na całe południe i że na terenach, nieobjętych koncesją (Beludżystan perski), istnieje możliwość opłacalnej eksploatacji ropy. Ponadto wyszło na jaw, że tą eksploatacją zainteresowali się naraz i Amerykanie i Anglicy. Z wiosną bieżącego roku przybyli do Teheranu przedstawiciele Standard Oil, towarzystwa Sinclair i jednego z towarzystw angielskich, wszyscy z myślą o uzyskaniu koncesji. Jakie są rezultaty ich starań — nie wiadomo dotychczas. Rokowania są w toku i rząd irański zachowuje w tej dziedzinie dużą dyskreję. Na interpelację w parlamencie premier odpowiedział długim i pięknym przemówieniem, z którego widać, że ani interpellant, ani nikt inny niczego się nie dowiedział. Ostatnio rząd obwieścił jedynie, że w związku z toczącymi się rozmowami zostało do Iranu zaproszonych dwóch ekspertów naftowych: pp. Curtiss i Hoover, syn b. prezydenta St. Zjednoczonych. Obaj ci panowie znajdują się już w Teheranie. Najbliższe tygodnie mogą zatem przynieść rozwiązanie jednej z nowych zagadek Środkowego Wschodu. Zobaczymy, kto wygra partię.

Wśród książek

Compton Mackenzie, „Mr. Roosevelt”, Londyn, George G. Harrap & Co. Ltd., 1943. Str. 256 + 24 ilustracji kolorowych + 82 ilustracji czarno-białych + 4 tablice synchronistyczne.

Jeśli ktoś dzisiaj napisał historię Rzymu, a nie dał równocześnie historii Watykanu, byłoby to taką samą niedoręcznością jak to, co zrobił p. Compton Mackenzie, gdy w swej obszernej 256-cio stronicowej książce nie omawia osiągnięć Roosevelta jako prezydenta Stanów Zjednoczonych. Użyłem obraźliwego słowa „niedoręczność”, bo to świadome pominięcie zupełnie psuje doskonale wrażenie, jakie książka robi na czytelniku mniej więcej o jakiejś dwóchsetnej stronie. Autor tłumaczy we wstępie, iż pragnął uniknąć zarzutu, że jako Anglik miesza się w sprawy wewnętrzno-polityczne Ameryki, celowo pominął też dziedziczą działalność Roosevelta. Ta wymówka jest równie nieprzekonywująca jak naiwna.

Compton Mackenzie nie jest nazwiskiem nieznanym. Ma on za sobą bardzo płodną działalność literacką, głównie jako powieściopisarz. Spis książek, które wydał, jest naprawdę imponujący: 33 powieści, 11 książek historycznych i biografii, 4 tomy essay'ów i krytyk, 1 sztuka teatralna, 12 książek dla dzieci i 2 tomy wierszy. Niektóre z tych książek, jak n. p. niedokończony jeszcze cykl powieści p. t. „The four Winds of Love”, stanowiłyby ozdobę każdej literatury. (Warto wspomnieć, że w pierwszym tomie tego cyklu pt. „The East Wind” znajdzie czytelnik polski obszerny, choć banalny, opis Krakowa, hejnału i Wieliczki). Pod koniec 1943 roku wydał w krótkich odstępach czasu 3 nowe książki: humorystyczną powieść pt. „Keep the Home Guard Turning”, obszerną historię wojny grecko - włoskiej i wreszcie powyższą monografię Roosevelta. Na tle tych tak obfitych i na ogół poważnych dokonań wydaje się dziwnym, że nie znalazł łaski w oczach angielskiej krytyki literackiej i że jego książki, choć czytane i wzięte, nie znajdują oddźwięku w kołach „highbrow” literatów. Mam wrażenie, że klucz do tej tajemnicy znaleźć można w biografii Roosevelta.

Jest ona dobrze napisana, zbyt wiele w niej jednak dziennikarskich chwytów. Zbyt wielką wagę i zbyt wiele miejsca poświęca błyskotliwym blachostkom, które świetnie wypadłyby w artykule, ale które rażą w książce. N. p. owa doskonała „story” o tym, że gdyby nie widzimisie jego matki, to w myśl tradycji rodu Roosevelтів nosiłby on imię nie Franklin Delano, ale Isaak. „Trudno oprzeć się pewnemu żalowi, że nie nazwano go „Isaak”. Takie imię dodałoby specjalnej pointy tej sprawiedliwości dziejowej, jakiej się doczeka Hitler”.

Zamiast zakończyć książkę na stronie 200-nej z chwilą wyboru Roosevelta na prezydenta Stanów Zjednoczonych, lub zamiast dodać dalszych 200 stron o New Deal'u, NIRA, TVA, lend-lease i t. p., które to dokonania stwarzają wielkość Roosevelta, autor czuje się nas dziennikarską paralelą Roosevelt-Hitler-Mussolini-Stalin-Churchill, która bawiłaby i interesowała może w krótkim artykule „Observera” ale która w życiorysie, roszcującym sobie pretensje do „poważności”, nie powinna była znaleźć miejsca.

Historia kariery politycznej Roosevelta w tej ulamkowej formie, w jakiej nam ją podano, jest zwłaszcza z początku, zanim czytelnik oswoja się z mnóstwem nazw i nazwisk, trochę nudząca. W miarę czytania zainteresowanie rośnie. Jest ono jednak zawsze powierzchowne, bo czytelnik polski (czy nawet angielski) zbyt mało wie o tajnikach i mechanizmach amerykańskiej polityki wewnętrznej, aby wysnuć swe własne wnioski lub aby samodzielnie ocenić wydarzenia. Znowu wydaje mi się, że dziennikarsko powabna postać Roosevelta skusiła autora do napisania biografii na tle barwnego, ale czysto zewnętrznego opisu rozgrywek politycznych. Gdyby zamiast tego dał na tle życiorysu analizę życia politycznego Stanów Zjednoczonych, książka nie byłaby może tak atrakcyjna dziennikarsko, ale zyskałaby na powadze i wartości.

Szkoda. Brak jest bowiem dzisiaj w Anglii zrozumiałej historii politycznej Stanów Zjednoczonych i historii dokonań gospodarczo-społecznych prezydenta Roosevelta. hsd.

POEZJA KARPACKA

„Poezja Karpacka”. Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich. Z przedmową Jana Bielatowicza. Jerozolima, Wydawnictwo „W Drodze”, 1944. Str. 101.

Przed paru miesiącami ukazał się w Jerozolimie 100-stronicowy zbiór wierszy, zatytułowany „Poezja Karpacka”. Ta antologia, opracowana przez żołnierza dawnej Brygady, poetę i krytyka, Jana Bielatowicza, była jakby pożegnaniem z ziemią wiecznego słońca, bękitem, piasku i palm, z całym rozległym obszarem od zielonej Cyrenajki, poprzez pustynną Libię, Egipt, Ziemię Świętą, aż do gór libańskich i skalistej pustyni pod Homsem.

Antologie mają to do siebie, że mogą z powodzeniem przedstawić określony temat, zilustrować wybrane zagadnienie. Natomiast zacierają sylwetki tworców. Toteż na antologię zyskują zwykle talenty po prostu, zdobywając sobie miejsce w pamięci czytelnika i utrwalając rzeczy, które były zbyt przelotne, by je czas zachował; indywidualności po prostu, które doznają przez wybór uszczuplenia swego wyrazu, a bardzo też często sprowadzenia do literackich schematów.

Podobnie też dzieje się z antologią poezji Brygady Karpackiej. Może ona tylko zwięźliwie pole widzenia czytelnika w stosunku do Hemara, który na długo przedtem zebrał swe wiersze emigracyjne w tomie „Dwie Ziemię Świętą”, tak samo również jak nie potrafi ten wybór dostatecznie zapoznać czytelnika z ciekawym talentem Tadeusza Sowickiego lub in-

dywidualnością Kobjrzyńskiego. Sowicki jest autorem tomu „Zwrotnik Wilkołaka”, wiersze Kobjrzyńskiego zostały spopularyzowane przez wszystkie pisma, ukazujące się na Środkowym Wschodzie, najmodniejszy zaś z poetów Brygady, B. Andrzejewski, ogłaszał poprzednio swoje utwory w wydawnictwach wojskowych.

W zamian za to, dzięki antologii zachowały się wartościowe wiersze Bielatowicza, których było zbyt mało, by mogły starczyć na osobny tom, jak również rozproszone utwory kilku innych autorów, ciekawe ze względu na swą niezaprzeczalną autentyczność i niezwykle nieraz egzotyzm.

Jest to przede wszystkim prawdziwa poezja nie tylko żołnierza, lecz wojenna. Popularnym dziś określeniem poezji żołnierskiej obejmuje się często wiersze, pisane w referatach oświatowych, podczas gdy w istocie przysługuje to miano utworom tylko tych autorów, którzy znaleźli się w pierwszej linii bojowej. W Brygadzie ci właśnie byli jej czołowymi poetami — Sowicki z artylerii polowej, Kobjrzyński — z pepanów, Andrzejewski i Bielatowicz — z baonów ckmów i piechoty. I jeżeli nawet Hemar, czy Młodożeniec, lub paru innych, pisali swe utwory w Latrunie lub pod Aleksandrią, to jednak i tam nie oszczędzali ich bomby, a ogólna trudna sytuacja Brygady i jej wielka wartość wewnętrzna także i tych autorów uprawnia do zaszczytnego tytułu poety-żołnierza.

Młodożeniec wypełniał programy teatru polowego Brygady, Hemar swe najgłębiej przeżyte wiersze z tego okresu napisał w Ru-

munii, tutaj zaś oddał błyskotliwe pióro na usługi wojskowej piosenki i rewii. Powstało w ten sposób wiele charakterystycznych utworów, będących często majstersztykami obywatelskiej satyry, jak np. słynna „Menażka”. Nie weszła ona zresztą do antologii, której można by postawić ten zarzut, że jest zbyt szczupła w stosunku do takich piór, jak Hemar czy Sowicki. Zarówno wartość literacka różnych wierszy, jak i konsekwentne przeprowadzenie zamierzenia dokumentarnego, wymagałyby włączenia co najmniej kilku jeszcze utworów.

Znaczenie artystyczne poezji Brygady polega na dwóch jej zasługach. Pierwsza — to stworzenie nowego typu poezji wojennej, pełnej męskości, powściąganego patosu, poezji tragicznej — a dalekiej od historycznego pacyfizmu; poezji pełnej werwy — a dalekiej od piosenkowego optymizmu.

Drugą wartością tego wysiłku poetycznego jest wydanie kilku niezaprzeczanie zdolnych autorów, a być może, że i talentów. Rozwój ich wiąże się głównie z późniejszym okresem, ale pierwsze utwory powstawały na linii fortyfikacji Tobruku, tak jak i tam już zarysowała się ich ideologia.

Bielatowicz w swej źródłowej przedmowie nawiązuje do mocnego ruchu literackiego w armii angielskiej i na tym tle daje charakterystykę poetów brygadowych.

Zdzisław Broncel

1) Drukowana w nrze 17 „W Drodze” z dnia 1 grudnia ub. r.

MARIA YU

STARE I NOWE ŻYCIE W CHINACH

Zbudziło nas uporczywe dzwonienie małych srebrnych dzwoneczków. Spojrzałam ku górze. Przez szpary w niedokładnie ułożonych dachówkach naszego spiczastego „sufitu“ sączy się już złote światło słoneczne. Później nieco padnie ono jasną plamą i na papierowe szybki naszych okienek, teraz ściana sąsiedniego domu i gęsto wyrosłe cyprysy zasłaniają nas jeszcze przed ulewą promieni.

Dzwoneczki? Nie, to nie jest przytłumiony dźwięk metalowych kołatek, które zwykle słyszymy, gdy za ścianą naszego domu kroczy karawana osiołków, obciążonych koszykami z piaskiem. Ten dźwięk jest czysty, wysoki, srebrny. Ach, lecz już dołączył się i łomot miedzianego gongu. A oto wpada głos ludzi, chrapliwe, falujące zawrodoenie, głos męski, lecz sztucznie podniesiony do skali sopranu. Prośba? Wezwanie? Modlitwa!

Szybko ubieramy się i w chwilę potem obie z moją córką stoimy przed wejściowym skrzydłem naszego domu. Zbudowano go w stylu starochińskim, to znaczy wokół prostokątnego podwórka wznoszą się cztery parterowe domy, wszystkie stykające się narożnikami i ślepyimi ścianami bez okien, tworzącymi mur, oddzielający nas od świata zewnętrznego. Tylko wąska brama prowadzi do wewnątrz. My zamieszkaliśmy tu pierwsi i całe dwa następne miesiące mogłam studiować do woli wojenną architekturę tutejszych domów. Głina, wapno, trochę drzewa. Pod nogami ziemia, nad głową spiczasty dach, parę desek na drzwi i papier na oknach, zawsze od strony podwórka. W podworzu oddzielono kąt na kuchnię dla właściciela, lokatorzy zadowalając się przenośnymi kuchenkami z węglem drzewnym. Wytoczono chodniki, resztę zrównano i podstawiono kilka wazonów z krzewami azalii. Na frontowej ścianie wewnętrznej wymalowano wielki „charakter“ chiński, znaczący: szczęście temu domowi. A dziś odbywa się „święcenie“ nowego siedliska życia ludzkiego. Karbowane brzości dachów ozdobił kolorowymi chorągiewkami. Żółte, zielone i czerwone skrawki papieru powiewają figlarnie ponad całym podwórzem. Rodziny, zamieszkałe tutaj, zgromadziły się przed szeroko otwartymi drzwiami największej sali. W głębi urządzono „ołtarz“. Rzeźbiony, czarno lakierowany stół. Nad nim olbrzymi obraz Buddy. Na stole tablice przodków i talerze z przeróżnymi potrawami. Pomarańcze, suszone ryby, gotowana kura itp. Na ziemi przed ołtarzem rozciągnięto kilka mat. Tam przykucnięci na piętach kapłani odprawiają święty obrządek. Jeden nieustannie wali w gong, drugą ręką potrząsając pęk srebrnych dzwoneczków. Dwaj inni czerpią z wielkiego sita ryż biały, a z miseczek ryż, farbowany na różowo, i z ziarenek tych układają na macie wizerunek bóstwa opiekuńczego tego domu. Skończyli. Zapalili pałeczki kadzidłane. Głęboko się kłaniają przed obrazem Buddy, z wodzą modlitwę błagalną. Na macie przed ryżowym bóstwem kazano klęknąć 3-letniemu wnukowi właściciela domu. Z lewej strony bije pokłony stryj, z prawej klęczy dziad, dziś wyjątkowo nie trzymający w ustach swe długiej fajki. Pyzaty małeć jest wyraźnie przestraszony. Czarne oczki błyszczą niespokojnie, a w rączkach ścisła ofiara całopalna: słomianego konika. Najstarszy bonza zapalił teraz długie, trzaskające zawartym w nich prochem rulony z czerwonego papieru. Kroczy od kąta do kąta i z miną surową odpędza złe duchy. Siwa głowa trzęsie się z oburzenia, długa biała broda rozwiewa się tragicznie, ręce podnoszą się gestem groźby, głos potężnieje, gdy płonącą zagwiał rysuje w powietrzu cudotwórcze znaki. Czerwona szata spływa ku ziemi. Dwaj inni w swych spłowiałych fioletach walą teraz ile sił w gong, bęben i dzwoni. Okrzyki rosną. Lecz gdy zbliżyli się do malca, by nad nim odprawiać swe modły, chłopiec rozplakał się. Więc Ama bierze go na kolana, a dziadek, odebrawszy od niego słomianego konika, przykucnął na jego miejscu i skłania się w pokorze przed zaklęciem czarownika. Widząc, że ceremonia przeciąga się, zamierzam odejść do moich codziennych zajęć. Ale w grupie osób, tu stojących, spotrzegam dwóch studentów. Jeden z nich należy do niedawno tu zamieszkałej rodziny wysokiego urzędnika państwowego. Mają oni 2 samochody i paterfon (!), ubierają się w nowoczesne garnitury i mówią po angielsku, bo niedawno przyjechali z Ameryki. Proszę go, żeby mi objaśnił dzisiejszą uroczystość. Jest wyraźnie zażenowany. Mówi, że sam nie rozumie. Więc kolega, student tutejszego uniwersytetu (jeszcze w chińskiego kroju szacie, tłumaczy, że to obrządek lokalny i ma na celu odpędzenie złych duchów, zwłaszcza od przyszłego właściciela tego domu, owego 3-letniego brzdąca, który snąc jest pierwszym potomkiem z linii męskiej. Pokazuje mi też umieszczone nad bramą wejściową i na wszystkich czterech rogach zewnętrznego muru głowy kozłów z pomalowanymi na czerwono różkami. Możemy więc spać tu i mieszkać spokojnie, nie nam się tu złego nie stanie. Cały dzień słyszałam śpiewy bonzów i obrzędową muzykę. Ja, jak zwykle, musiałam się krzątać koło naszego prymitywnego gospodarstwa, ale Iwonka biegała tam i z powrotem, donosząc mi, że teraz ten w podartej czerwonej sukni zapalił kadzidło przed „przodkami“, a teraz jedzą te wszystkie rzeczy. Dyrektor T., dawny kolega, zaprosił nas

które były na stole. Gdy słońce miedzianą czerwienią pomalowało słomiany dach wewnętrznej pawilonu, z sali obrzędowej wyszedł orszak. Dwaj młodzi czarownicy bębni i dzwonili, właściciel domu z namaszczeniem niósł miseczkę wody i miseczkę ryżu, a stary czarownik czerpał dłonią wodę i kropił podwórze i mury domów, czyniąc to starannie i z uwagą. Zaś przyszły dziedzic posiadłości, pyzaty „didi“ sypał maleńką rączką różowy ryż we wszystkie kąty podwórka — dla duchów złych, niech się najedzą i odejdą...

Wyraźnie ucieszyli się z tego wróble, zwykle zalegające słomianą strzechę, z której już wszystkie pozostałe ziarna doszczętnie wyskubały, i gdy tylko orszak się oddalił, zleciały skwapliwie, by się uraczyć różową ucztą.

W godzinę potem ucichła wreszcie niepokojąca muzyka. Zamiast kakofonii brutalnych dźwięków z krzaku azaliowego odezwał się głos świerszczyka. W ciszy pogodnego wieczoru brzmiał słodko i kojąco. Cudownie szafirowy firmament zapalił się miriadem gwiazd i srebrna lampa księżycza zaczęła płynąć wolno wśród obłoków, rozsiadanych na wschodnim nieboskłoncie. Tu gwiazdy są o wiele niżej i księżyc zdaje się spływać ku ziemi, lecz ta sama co i u nas jest mleczna droga i ten sam wóz, zwrócony ku północy.

Ale dzwonołów kościelnych jeszcze tu nie słyszałam...

Dyrektor Tze, dawny kolega, zaprosił nas do siebie. Pragnie pokazać nam swój warsztat pracy i prosi o odczyt o wydarzeniach aktualnych w Europie, dla robotników jego fabryki. Jedziemy jego autem, a raczej samochodem fabryki do jego rozporządzenia, bo osoby prywatne nie mają prawa używania pojazdów mechanicznych ze względu na oszczędzanie benzyny. Wygodny Buick w pół godziny wywozi nas z miasta w szczerze pole, sfalowane pomiędzy dość wysokimi pogórkami. Zielono. Półka ryżu i jarzyn, na zboczach pagórków rzadka sośnina i cyprys. I nagle zza zakrętu wyłaniają się rozległe zabudowania, ogrodzone niewysokim murem glinianym, trzy potężne komin fabryczne, wielkie hale prac, domy robotników, i małe domki samodzielne dyrektorów tego wielkiego przedsiębiorstwa. Bo jest tu fabryka sody, elektrownia i fabryka miedzi. Pięć tysięcy robotników tu pracuje i tu mieszka. Sympatyczny p. Tze, generalny dyrektor, wyksztalcony we Francji, doskonale mówi po francusku. Opowiada: pięć lat temu rząd dał mi to rozległe puste pole i odpowiednie fundusze z rozkazem, abym tu zbudował i zorganizował komplet fabryk, któreby wykorzystywały bogactwa naturalne tego terenu. Ponieważ do najłatwiejszych tu kopaliń należy miedź, trochę srebra i soda, jest tu też węgiel kamienny w obfitości, zorganizowałem te trzy fabryki.

Z zainteresowaniem obeszlismy cały teren. Wielkie auta ciężarowe dowożą surowiec z pobliskich kopalni, na obszerne podwórkach wewnętrznych leżą płyty miedziane gotowe do odwiezienia do wielkich miast chińskich. Ogłdamy piec, gdzie się topi miedź, i przechodzimy przez olbrzymie sale, zalane wodą, gdzie się elektrolizuje płyty miedziane. Jest to jedna z największych w wolnych Chinach tego rodzaju fabryka, dostarczająca anod i katod wszystkim elektrowniom państwa. Skala pracy jest olbrzymia i obowiązek obywatelski spełniany sumiennie. Interesuje mnie kwestia społeczna. W jaki sposób ta masa robotników, którzy właśnie wychodzą z sal, gdyż gong oznajmia „c—rah“, obiad, w jaki sposób ludzie ci, pochodzący z dalekich od centrów cywilizacyjnych wiosek i osiedli górskich, doszli do obecnych umiejętności technicznych i do subordynacji.

I tu pokazało się, że pan Tze i jego dwaj koledzy dyr. Ku i dyr. San są nie tylko dobrymi fachowcami, lecz i doskonałymi organizatorami życia socjalnego, a także troskliwymi wychowawcami.

Oto co zobaczyłam: przedszkole, 2 szkoły

powszechne i niższe liceum, kursy wieczorowe dla dorosłych, ambulatorium lekarskie i mały szpitalik dla miejscowych pacjentów, własna apteka, sklep spółdzielczy, gdzie można kupić żywność, materiały ubraniowe, higieniczne i pisarskie — podkreślam, że zarówno sam sklep, jak i sposób obsługiwanienia odznacza się wyjątkową higieną. A wieczorem zajrzeliśmy do sali odczytów i przedstawień teatralnych, gdzie jest także głośnik radiowy, do czytelnicy i biblioteczki.

To wszystko może się moim czytelnikom wyda zbyt normalne, żeby aż tak podkreślać te osiągnięcia. Ale proszę sobie wyobrazić: wokół wioski, zamieszkałe przez nie tylko analfabetów, ale ludzi, którzy nigdy jeszcze nie zetknęli się z jakimikolwiek przejawami cywilizacji zachodniej. Pędzą oni tryb życia zupełnie prymitywny. Zbudowanie lepianki uprawa półka ryżowego i paru zagonów fasolczy kapusty, rozpalenie ogniska, zeszyt zgrubszu paru szmat na kaftan i czegoś w rodzaju spodni — to wszystkie ich umiejętności. Włara, że po śmierci spotkają się z przodkami, i że z nimi żyć będą szczęśliwi, zawsze syci i nigdy zmarznąć, i kult diabła, którego starają się skaptować lub odstraszyć mnóstwem gusiek i zabobonów — to cała ich filozofia.

I nagle w życie ich wkroczyła ta fabryka, żywy czynnik organizmu państwowego. I natychmiast wraz z polepszeniem bytu materialnego otrzymali nowe życie psychiczne. Tu dowiadują się o istnieniu innych narodów na świecie, o wysiłkach i zmaganiach ludzkości całej i przede wszystkim widzą w swoich salach szkolnych i odczytowych oblicze wielkiego Sun-Jat-Tzen'a. Teraz wiedzą, że życie ich nie służy im tylko, lecz potrzebne jest wielkiemu narodowi, który ma swój udział i obowiązki w rodzinie wszystkich narodów.

Wieczorem ci wszyscy górnicy, szoferzy, palacze, mechanicy i personel kierowniczy zebrał się w sali, by wysłuchać odczytu o tym, co się dzieje w Europie. Obserwowałam ich twarze. Niektórzy z tych ludzi dopiero teraz pojmowali, że istnieją także olbrzymie odległości, że są kraje, gdzie ludzie, chociaż mówią innym językiem, takie same mają potrzeby i trudności jak oni, że tam u nas też jest „ta-dzan“ — wojna — i że my jak i oni jednego pragniemy: wolności politycznej i swobody rozwoju indywidualnego. Słowa dr. Sun-Jat-Tsen'a: niezależność, wolność i zjednoczenie, nabrały treści: w czarnych, jak gdyby omgłonych niewiedzą oczach poczęły się palić iskry zainteresowania, współczucia i pragnienia: zwyciężyć.

Po skończeniu odczytu dziękowali serdecznie: „sie-sie“, „to-sie“ (bardzo dziękujemy) i przed rozejściem się zaśpiewali swój piękny hymn.

Nazajutrz p. Tze zawiózł nas do starej świątyni buddyjskiej, żebyśmy mogli poznać architekturę dawnych świątyń chińskich i podziwiać azalie, hodowane przez bonzów.

Rzeczywiście: świątynia, jak wszystkie zresztą stare świątynie chińskie, świadczy o wysokich zdolnościach architektonicznych dawnych budowniczych.

Pięknie wygięte gontowe dachy, krużganki i podcienia, wszystko się trzyma dobrze, mimo że zarówno główna świątynia, jak i wewnętrzne budynki mieszkalne są zbudowane z drzewa około 500 lat temu. Czerwone i złote smoki, pawie, żaby i jaszczurki, fantastycznie skłębione w ażurowej rzeźbie na dachach i balustradach świątyni. A w głębi...

Spojrzały na nas setki wykrzywionych w zastępnym uśmiechu twarzy. Od stropu aż do zapyłonej posadzki rzędami siedzą, pół leżą, stoją posągi wszelakich bóstw. Porcelanowe ich ciała są wszystkie otępy i powykęcane w dziwaczne pozycje, niektóre mają po 4 ręce, po 2 twarze. Zielone i niebieskie, złotem i purpurą zdobione ich szaty, w ręku trzymają godła swej władzy i charakteru.

A więc jeden trzyma wielki czajnik cynowy, a obok ma misę, to bóg łakomych, — drugi wydyma policzek nad czarno-złotym fletem, jego proszę o opiekę miłośnicy melodii, — in-

ny, siedzący na smoku i tulący żabę w objęciach, na pewno odstraszy złego ducha i przyniesie szczęście domowi itd. itd...

Siedzący dwoma rzędami nawprost wejścia bonzowie nie bronią nam wstępu. Zdają się tak zatopieni w głośnie wspólnej modlitwie, że niby nas nie zauważają. A jednak kilku z nich całkiem bystro spogląda kątem oczu; przewracając żółte karty ksiąg i dzwoniąc gorliwie pękami dzwoneczków, pilnie baczą na rzadkich tu gości. A możeby nas, a zwłaszcza mnie, cudzoziemkę, tu nie wpuszcili, ale dyrektor Tze mówi mi półgłosem, że oni go dobrze znają i nie ośmieliliby się wstrzymać go u progu swej wiecznej świątyni.

Wchodzimy. W głębi podwórza, otoczonego celkami bonzów, rozkwita klomb najcudniejszych azalii. Bujne krzewy przerastają najwyższych z nas. Ciemno-purpurowe, amarantowe i białe kwiaty zwisają ciężko wśród błyszczącego listowia. W zawieszonych wśród kwiatów klatce zielono-różowa papuga popisuje się chińską gościnnością: „ho-ma? ho-ma? Jak się macie?“

Owszem, ciekawe to wszystko i słucham z zainteresowaniem objaśnienia pana Tze, że azalie są wiekową namiętnością i tradycją tutejszych bonzów i że nie wolno ich nie tylko zerwać, ale nawet dotknąć: święte.

Ale czas już wracać. Fotografujemy się przed wejściem do świątyni. Mała Iwonka nie wiele jest większa od wielkich złotych „charakterów“ (chińskie litery pisarskie), które z góry do dołu zdobią ścianę frontową, mówiąc o wartości życia w „równowadze ducha“.

Z przyjemnością wdycham żywiczną woń sosn i czeremchy przed nami na zboczu górskim. Od dwóch lat nie widziałam sosny i nawet „choinka“ tej zimy to był mały cyprys, przyciągnięty w dniu wigilijnym z ogrodu angielskiego w Kun-min podczas bombardowania.

Z przjemnością wdycham żywiczną woń rozgrzanych w słońcu gałązek. Zrywamy żółte kwiaty jakiejś pnącej rośliny i nagle stajemy na krawędzi urwiska, skąd widać rozlane błękitne wody jeziora Tien-Hu.

Zadzroszczę tym filozoficznym mnichom, którzy w ciszy lasu, w zapachu azalii i pograżeni w wierze w skuteczność swych modłów, pędzą tu żywot choć prymitywny, ale tak spokojny. Wszak o 60 km. stąd miasto, w którym ja mieszkam, jest niemal codziennie nawiedzane przez naloży i tłum ludzi w panicznej ucieczce nie zawsze zdoła uniknąć krwawej masakry od bomb.

Tu się przechowuje wiekowa tradycja, tam trwa walka o każdy dzień życia i o wielką przyszłość ojczyzny. Tu się powtarza monotonnym głosem religijne wersety, tam młodzież uniwersytecka zalega opustoszałe świątynie buddyjskie, kontynuując swe studia, zaczęte w Peipinie, Nankinie lub Szanghaju, mimo nalotów, mimo zrujnowanych domostw, epidemii cholery i tyfusu.

Bo prócz walki orężnej na lądzie i w powietrzu Chiny prowadziła kampanię umysłową, walczą z analfabetyzmem, z zacofaniem na polu wiedzy technicznej i organizacji pracy.

I w tym wysiłku osiągają sukcesy, które są rękomią ich świetnej przyszłości. Przykład?

Opisaną wyżej wycieczkę do fabryk w M. i do zacisznej świątyni buddyjskiej odbyłam przed rokiem, kiedy jeszcze mieszkałam w Kun-min.

A dziś, tu w Czungkingu, spotkałam na ulicy właśnie p. T., owego sympatycznego dyrektora fabryk w M. W watomym szarosiwym mundurze żołnierza chińskiego różni się od szeregowców jedynie małą naszywką nad lewą kieszonką z żółtymi znakami pisma chińskiego. Pytam go: „Cóż to się stało, że tak niespodzianie spotykam tu pana, i to w mundurze wojskowym. Cóż za dziwny zbieg okoliczności, właśnie wczoraj napisałam artykuł o pańskich fabrykach w M. i bardzo żałowałam, że zwiedzając pańskie warsztaty pracy, nie zrobiłam wtedy dokładniejszego reportażu? Czy mógłby mi pan udzielić tu w Czungkingu paru niezbędnych wyjaśnień? Przecież to dla propagandy Chin“. Uśmiechnął się: „Żałuję bardzo, bo jak pani widzi, jestem teraz w służbie wojskowej, trzymiesięczne przeszkolenie wojskowe, taki sam kurs, jaki mąż pani odbył jesienią. Regulamin wojskowy nie zostawia mi czasu na wizyty w dni powszednie, ale w niedzielę z przyjemnością odwiedzę panią i opowiem o postępach mojej fabryki“.

„W niedzielę? W czwartek wylatuję z Czungkingu i w niedzielę będę już w Kalkucie, w drodze do Bagdadu“. — „Ach, więc proszę napisać swoim miłym czytelnikom przynajmniej to, że obecnie mam jeszcze fabrykę aluminium“. Pożegnaliśmy się. Myślałam: ten człowiek umie szybko realizować swoje zamierzenia.

A kiedy jechałam na rykszy, w mrowiu tłumy chińskiego, który ciągle gdzieś dąży, coś dźwiga, czegoś dokonywa, dostrzegłam raz jeszcze wyniosłą postać dyr. T. w sinym mundurze żołnierza Republiki. Stał się on dla mnie symbolem współczesnego patriotyzmu narodu chińskiego. Jednocześnie pracy organicznej państwa i gotowości obrony wojskowej.

NOWOŚĆ!

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze“ zaczęły wychodzić polskie przekłady głośnie angielskiej serii broszur politycznych „OXFORD PAMPHLETS ON WORLD AFFAIRS“

Jako dwa pierwsze numery ukazały się

Nr. 1

D. W. BROGAN

Prof. Uniwersytetu w Cambridge

AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA

Nr. 2

IVOR THOMAS

Członek Izby Gmin

KIM JEST MUSSOLINI?

Dalsze zeszyty w druku

Cena każdej broszury 50 milsów

Zdobycie Tunisu, wypędzenie Niemców z Afryki, upadek Pantellarii i tym podobne drobniaki zbłądy zupełnie wobec ostatniej nader ożywionej działalności naszego tylnego strzelca, Pryszczyka. Zresztą przebieg tej sprawy, lub raczej — tych kilku spraw kolejnych — żywo przypomina losy armii brytyjskich w kampanii afrykańskiej: raz pod wozem, raz na wozie... Tak właśnie było z Pryszczykiem, z tą różnicą, że jego przygody, jego przewagi i porażki rozegrały się w czasie o wiele krótszym niż kontendans wojenny między Egiptem a Marokko.

Zaczęło się od tego, że w Afryce, tylko u nas w dywizyjoni, że w kasynie oficeraśm podano kiełbasę. *Prawdziwą polską, wieprzową kiełbasę z czoszkiem, nie żadne „sausages”, nadziewane papką z kartofli, chleba i tektury...*

Smakowała wszystkim nadzwyczajnie, nawet Anglikom, którzy zwykle nie zwracają najmniejszej uwagi na wyczyny kulinarne Kędzierzawego. Smakowała im tak bardzo, że aż się zainteresowali, skąd przyszedła ją zdołał. On zaś robił skądś, a nie bezczelnie zapewniał, że to lord Woolton¹⁾ przysłał taki prezent dla oficerów.

Ale Morrison z Lejba wywyszyli, że taka sama kiełbasa — i to w większych ilościach — pojawiła się w messie sierżanckiej, wieczorem zaś nasz Intelligence Officer zrobił mroźną krew w żylach odkrycie: jego pies wygrzebał w pobliżu baru kapitelowego zakopany tam świniński ryj, świeżo oskrobane gnaty i że sto yardów biejących jeli...

Wiadę o mordzieństwie rozszala się potem hukawicy po lotnisku, po najbliższych „pub'ach” i dotarła do miasta. Nazajutrz w południe na stację zjechał miejscowy, „Sherlock Holmes” w towarzystwie żandarmów i — „pykając krótką fajeczkę” (jak napisabył Conan Doyle) — rozpoczął śledztwo.

W bystrym umyśle angielskiego detektywa już po kilku godzinach wstępnych badań i przesłuchiwań ze skojarzenia dwóch faktów: primo — obfitości wieprzowej kiełbasy, i secundo — znalezienia resztek zamordowanej ofiary, wysnuł nie pobawiony słuszności domysł, że świnię zabito w tym celu, aby z niej zrobić owe kiełbasy. Wieczorem „Sherlock Holmes” nie pokazywał się w kasynie, ale widzieliśmy, że został na noc na stacji. Za pewnie siedział w pokoju gościnnym, otaczając się kłębami dymu tytoniowego i „pozwalając pracować szarym komórkom swego mózgu”, lub może słuchał koncertu „for the Forces”, nadawanego przez radię. Natomiast żandarm, który „był za dr. Watsona”, przedświadał małe śledztwo na własną rękę.

Wiadomo chyba każdemu, że Watson nie sięga nawet do pięt Holmesowi; że zawsze wpada na trop fałszywy i tylko przypadkiem robi drobne odkrycia, które dopiero w genialnym umyśle Holmesa wiążą się w obraz całego zdarzeń i rzucają błysk światła na sprawy najbardziej zwłaje. Oczekiwaliśmy, że tak będzie i tym razem.

Żandarm nie badał odcisków palców na klamkach, nie zawiązał troskliwie w chustkę od nosa niedopalonego obok baraku, nie wnioskował, nie dedukował i nie oślniewał nas blyskotliwymi uwagami, lecz — jak pierwszy lepszy śmiertelnik — zapytał Kędzierzawego, skąd wzięła się kiełbasa, którą wszyscy z takim apetytem zjedli dnia poprzedniego. Rozmawiał też z gospodarzem messy sierżantów i odwiedził pewnego farmera w pobliżu lotniska, który miał córkę dydaktyczkę, narzeczoną kaprala z naszej brygady dy mechaników. Wreszcie zainteresował się zupełnie nawnie — czy kto z tej brygady lub z załogi L — jak Lucy nie był w cywilu rzek-nikiem.

Przypuszczam, że gdyby Pryszczyk czytał kiedykolwiek Conan Doyle'a, to nie przejałby się wcale tymi poczynaniami, które zgodnie z zasadami najlepszych powieści kryminalnych powinny były iść w zgola błędnym kierunku. Ale Pryszczyk o Conan Doyle'u nie wiedział, a jeśli co czytywał, to najwyżej „Dziennik Polski”, który — jak wiadomo — z kryminalnych historii drukuje tylko raporty „lotnicze” niejakiego...

Pewnie dlatego nasz tylny strzelec tego wieczora zapukał do pokoju, który zajmowaliśmy wraz z Zygmuntem. Nie spodziewaliśmy się żadnej wizyty o tej porze. Zygmuntem cerował granatowe skarpety różową włóczką welnianą, ja zaś kładłem paszjasna. Równocześnie powiedzieliśmy: „Proszę”, i wszedł Pryszczyk. Zdziwiliśmy się, czego może od nas chieć o tej porze, ale nie wypadalo pytać, więc tylko zaprosiliśmy go, żeby usiadł, Zygmun zaś częstował go papierosem i zagadnął, „co słychać”.

Pryszczyk powiedział, że nie szczegółnego, ale „faktycznie” to — źle.

— Apropos tu policji, panie kapita-

nie... — dodał.

— Co w was macie z policją? — zdzi-

wił się Zygmun.

— Ja — z policją? Nie podobnego, panie kapitanie! Nic w ogóle z policją nie mam, tylko kapral Ferenc, któremu matry-

monialny żandarm, który w kasynie, gdzie eszali wariacj tera dostał, bo mówi, po-

wiada, że przez te świnię w rodzinne niepo-

rozumienie z tęściowom popadnie.

— Cóż to za Grace? — zapytałem, żeby

zwołna wyjaśnić sprawę „matrymonialnej

miłości”, o której nie mam nie było wiadomo.

— Pan kapitan nie wie? — zgorszył się

Pryszczyk. — Przecie Ferenc, ten z naszej

monialny zamiar. Stary, owszem, tolerancje

swoje dał i nawet stara już ustąpiła, tylko

tera ta świnią wszystko jem psuje.

— Jaka świnią? — badałem dalej, nie

rozumiejąc, kogo Pryszczyk ma na myśli.

— No ta, cośmy ją od starego kupili —

odrzekł lekko znierpialiony moja tępotą. —

Przecie pan kapitan chyba słyszał...

— Zaraz, zaraz — wtrącił się Zyg-

munt. — Odpowiedzcie no wszystko po kole,

jak to było z tą świnią: kto ją kupił, od kogo,

o co było dalej.

Pryszczyk westchnął, ale widząc, że nie

dojdzie z nami do ładu, jeśli nas nie oświeci

gruntownie, zaczął od początku.

Ojcem rudej Grace jest zamożny farmer,

Mr. Thistle, którego grunty przylegają do

lotniska. Mr. Thistle hoduje na swojej farmie

świnie, pragnąc w ten sposób przyczynić się

do wysiłku wojennego Wielkiej Brytanii.

Sprzedzą i ubój świi odbywa się pod kontrol-

ę urzędu wyższego i lojalny Thistle pod-

dawał się niezbyt zresztą uciążliwym prze-

pisem tego urzędu, dostarczając przede

czym najblizszej bekonkurni po obywatelskich ce-

nach. Mieszkańcom, przysyłał więc pana Thi-

stle, kaprala Ferenc, cywila jest czeladnikiem

rzeźnikiem z Piotrkowa. Nieszcześniećm rów-

nież, Ferencą żęć zażyła przyjaciół z Pryszc-

zykiem. We dwóch umyślił, że namówią lo-

jalnego farmera, aby jedną świnie odstąpił

bohaterskim lotnikom, co będzie mu poczyta-

ne za jeszcze większy „war effort”, niż gdyby

ją zjedli cywile w Newark lub w Lincoln.

Farmer — Anglik bez krzty wyobraźni — nie

mógł tego zrozumieć i uległ dopiero pod wpły-

wem nalegań medianożewości Grace, która

dla Ferency gotowa była na wszystko.

Pewnego wieczora pod chlew Mr. Thistle

podjechała „śmiertelnik” z naszego dywizyjoni

i zabrala świnie na lotnisko — wprost do ba-

ru kapitelowego. Tam w ciągu nocy Ferenc

z pomocą Pryszczyka i kucharza dokonał

mordu, wymyślił trupa w wannie i narobił miłe

kiełbas. Ryj, kości i resztki zakopał pod ba-

PORUCZNIK HERBERT

"ŚWINIŃSKA" SPRAWA

się za zadanie mniej niebezpieczne, łatwiejsze

nić bombardowanie i, w ogóle „ulgowo”. Os-

obiście wolno latać na wyprawę bombowe niż

„ślać jarzynie w ogródku”, czyli kłaść miny.

Zławsza, że bomby zakwitają i owocują na-

tychmiast, że często widzi się, jak wybucha-

ją w celu, podczas gdy wielkie, tysiąćpięset-

funtowe nasiona min weschodzą bardzo powoli

i prawie nigdy załoga nie widzi ich kwiatów

— wybuchów i owoców — zniszczeń, przez nie

dokonywanych.

Wyrażenie „niszka wojna” pochodzi stąd,

że lot odbywa się na małej wysokości i że mi-

ny opuszcza się na spadachonach, również le-

ciec nisko, na 500—800 stóp nad powierzchnią

morza. Każda mina musi być położona dokład-

nie w punkcie nakazanym, co wymaga niebez-

pieczeństwa zadania, ponieważ niemiecka ar-

tyleria nadbrzeżna i działa okrętów obrony

przeciwlotniczej wstrzelane są doskonale we

wszystkich kierunkach, mają dość czasu na

skuszenie ognia, a szukanie właściwego miej-

scia w nocy, podczas gdy dokoła samolotu rwa

się pociski, nie jest ani łatwe, ani przyjemne.

Navigator podczas takiej wyprawy ma

mnóstwo roboty, bo kurs lotu ustawicznie się

zmienia, zależnie od szybkości, wysokości, kie-

runków wiatru, nie mówiąc już o zmianach

całkiem nieprzewidywalnych, w wypadku gdy

nastąpi spotkanie z nieprzyjacielskim myśliw-

cem. Na stoliku nawigacyjnym leży mapa z

czterowymi płanami obrony przeciwlotniczej,

z punktami reflektorów, z koleściami lotnisk.

Miedzy nimi widać się kręty szlak lotu, podzie-

lony na odcinki czasu. Obok — log z kolum-

now: cyfr: kursy w stopniach, punkty zwrot-

ne, minuty i sekundy, plusy i minusy dewiacji

i derywacji na różnych wysokościach... Wszy-

stko przygotowane i zliczone jeszcze przed

startem i — wszystkie wymagające poprawek

z drożdze, w miarę jak teoria wyznaczanej tra-

sy zamienia się w praktykę lotu.

Pilot musi utrzymywać podawany mu co pa-

rę minut kurs z największą dokładnością. Tu

nie wolno się mylić; nie można pozwalać sobie

na błędy, nie można niebezpiecznie jest zbliżać

choćby przez chwilę ze szlaku. Nie można le-

cieć wyżej albo niżej. Nie można zmieniać

szybkości. Tu trzeba trzymać się trasy, jak

wykiniętej ścieżki w górach między przepa-

ściami.

Strzelcy, jak dwa luki z napiętymi cięta-

wami, czuwają u karabinów maszynowych w

swoich wieżyczkach. Spotkanie myśliwca na

tej wysokości może się skończyć tylko śmier-

cia — jego lub załogi, która leci na „niszka

wojny”.

Dlatego załoga musi pracować jak dobrze

dopasowany mechanizm. Musi działać sprawn-

ie. Wszyscy powinni znać się nawzajem; znać

ton głosu każdego spośród zespołu; ufać sobie

wzajemnie; może liczyć na każdego z towarzy-

szów. Jeśli załoga tak się dobierze, wówczas

„szafa gra” — wszystko idzie, niemal auto-

matycznie.

Pryszczyk był nowym kółkiem tego me-

chanizmu. Nowym kławiem grającej szafy,

która wystartowała do 1000-milowego lotu

tego wieczora. Był zgrany z nami, bo należał

do zespołu L — jak Lucy, lecz nie można było

przewidzieć, że w takim samym stopniu do-

stroił się do załogi Ewy. Mimo to zgodzili się

wiązać go na tę „ulgowa” wyprawę.

Nie wiem, co właściwie Pryszczyk miał na

myśli, mówiąc że jeśli tej nocy poleci, to „ta-

kie ma wyliczenie”. Nie mógł oczywiście przewi-

dzić, co mu się w tym locie zdarzy, jakkol-

wieć później opowiadał, że poprzedniej nocy

miał proroczy sen, który go skłonił do wzię-

cia udziału w wyprawie Ewy.

Dość łatwo przejrzałem materialistycz-

nie podłoże owego snu i nie mam żadnych wątpli-

wości co do celu, w jakim Pryszczyk go wy-

myślił. Niemniej jednak świńska sprawa „istot-

nie „przyschła” bardzo szybko, a nasz tylny

strzelec okrył się chwałą, jak — toutes

proportions gardées — Ośma Armia pod El

Alamein.

Co do tego wieszczego snu, to Pryszczyk

tak odpowiadał o nim nazajutrz po wyprawie,

w messie sierżantów, gdzie zebrali się obie

załogi, nasza i Ewy, aby uczcić jego czynny

wspnianie:

— Za każdą razą, panie kapitanie, jak w

krytycznym położeniu się znajduję, rodzinne

osobie we śnie widzę i telepatycznie sposobem

przyszłość moja mnie się przedstawia. A właś-

nie wczoraj wuj moją „Serkoszczak” niejaki, mi

się przewilił, jak ta świnią i gliny mi po głowie

chodził i żadnego sposobu nie mogłem wykom-

binować, żeby honorowo sprawę załagodzić. I

śni mnie się, że wuj Serkoszczak, elegancko

ubrany, w świeżem półkoszku i w deklacu,

w jedną znajomą knajpię koło mostu Kierbe-

dzia przesiaduje i artystycznie kawalki na ha-

monii odgrywa. A my z koleściami — na jed-

ne głębsze monopolie przychodzimy i ja właśnie

za zagrychem się oglądam, a wuj — do mnie

zaczyna, że — mówi — „słoroto białe, bez

forasy jesteś powiada — i takim prawem

będę zmuszony jakiegos Messerschmida ci

sprezentować, żebyś mógł na rachunek załogi

coniebać wypić, bo sam pod finansowym

względem za bankrota się zostalę”.

Uśmiechnałem się skrycie, aby Pryszczyk

nie przypuszczał, że mogę powtórzyć w

prawdźliwość tego snu, Zygmun zaś zamówił

Fergusona i oświadczył z odcieniem podziwu: — Mój komendant, czysta robota. Tych dziewięciu Holendrów wykończył razem, a Pryszczyk oczarował tę Alith, czy jak jej nazywają... No i będą razem siedzieli w kryminale. Nie ma rady — musimy jechać do Londynu i jakoś ich ratować.

Postanowiliśmy uzyskać zezwolenie na przelot samolotem i skloniliśmy Bacę, który pełnił obowiązki dowódcy dywizjonu, żeby nam pozostawił załatwienie całej tej sprawy, po czym — w porozumieniu z Kędzierzawym — wezwaliśmy „podejrzanych” do kancelarii dowódcy, aby się dowiedzieć, co właściwie zaszło.

Zameldowali się po chwili wszyscy czterej: Koza bardzo zawstydzony, Ferenc i Gomorek jak na ścięcie. Pryszczyk zaś z miną niewiniątka, zdziwiony, czego możemy od niego chcieć.

Zygmun od razu przystąpił do rzeczy: — Jak to było z tymi Holendrami?

— Z jakim Holendrami, panie kapita-

nie? — zdumiał się nasz tylny strzelec.

— Z tymi, coście ich pobili w barze.

— Róbić ze mnie wariata, Pryszczyk, bo tu już przyszedł raport w tej sprawie. No? Watydy robić całemu dywizjonowi!

Pryszczyk poczuł się dotknięty do żywego. — Wstyd? My — dywizjonowi?! Przecie my ich sprali, panie kapitanie, a nie oni nas.

To jaki żnów wstyd?... Zygmunta uderzyła trafność tego poglądu, ja zaś uśmiechnąłem się mimowoli, co Pryszczyk naturalnie natychmiast dostrzegł i co dodało mu pewnością siebie.

— Bo to było tak, panie kapitanie — zwrócił się do stolika, który stał między mną a Zygmuntem. — Najpierw tomy posli do Kłodu Białego Orła, coś niecoś skosmonować, żeby nam się nie przydarło.

Anglo-Polish balet bileta ma, a zjemymy posli. I faktycznie czterech biletów nam dała do Kings Teatru. Z jakiegoś powodu nie mogłem pój-

ść, bo nie miałem pieniędzy. Wuj Serkoszczak — powiedział, że nie należy, bo Polskie Ognisko nam teatr funduje. No — jak tak — mówię, to blat. I idziem na ten balet...

Zygmun z rezygnacją sięgnął po papieros: — Jeżeli miłymi się dowiedzieć czegoś o Holendrach, trzeba było najpierw spokojnie wysłuchać opowieści Pryszczyka o ba-

lecie... (Byłem na tym baliecie i widziałem „Jeziro Łabędzie” w pięknym wykonaniu polskich i angielskich tanecarzy, ale dopiero Pryszczyk wyjaśnił mi wszystkie szczegóły tej pantomimy. Dlatego Pryszczyk dokonował w swej mój i chodzą tamtych, wiadom w strachu, bo mokre roboty uskutecznił. Ale że łabędź twarde nature posiada, więc ta dana królowa jeszcze dobre piętnaście minut ze szczalał w biust-halterze ciężkie skomanie w tańcu wyszczegół-

nia, a dopiero jak się wszystkie zlecieli, na dobre już kite odwała. I tak się, panie kapita-

nie, ten romans zakończył, a Ferenc mówi, że przeucze ma, jako z niem i z Grace to samo będzie. Więc żeby koleżki Ferencowa w dramatycznym uczuciu ducha nie pozostawiać, tomy do tego baru posli...

„ŚWIŃSKA” SPRAWA

(dokończenie ze str. 7)

Nie byłem przygotowany na to pytanie. Nie wiem, jak po angielsku jest „wycisk”. Ale Pryszczak zastąpił ten obrazowy wyraz innym, ze słownika wyrażen wojskowych, i obracając się w stronę sędziego, oświadczył:

— We gave them a school, sir!

Na twarzy przedstawiciela sprawiedliwości odbiło się zakłopotanie.

— Co chcecie przez to powiedzieć? Jaką szkołę?...

Pryszczak brnął dalej:

— A school of fighting, sir.

Sędzia zrozumiał po swojemu:

— Uczyliście ich boksu?

Pryszczak zaprotestował:

— Nic podobnego, sir. Tylko oni z nami zaczęli.

— Co chcecie przez to powiedzieć? — spytał znów cierpliwy sędzia.

Pryszczak oświadczył, że chce przez to powiedzieć, iż ci marynarze przyszli do baru Mrs. Peacock i zamówili dziewięć kufli piwa po angielsku, po czym prowokacyjnie zaczęli gadać po niemiecku. Już to samo chyba mogłoby wystarczyć jako zaczepka. Ale on i jego przyjaciele jeszcze się pohamowali. Dopiero gdy domniemani Niemcy zaczęli śpiewać jakąś piosenkę...

— Ale oni rozmawiali i śpiewali po holendersku — przerwał sędzia.

Pryszczak nie oponował. Owszem, zgodził się z panem sędzią, że to było po holendersku, ale chyba pan sędzia wie, że Polacy przez Holandię nie przechodzili? Gdyby marynarze śpiewali po węgiersku, rumuńsku, jugosłowiańsku, po francusku, lub nawet po litewsku, czy po estońsku — nikt by im złego słowa nie powiedział. Ale żaden polski żołnierz nie był w Holandii, a ten język tak jest do niemieckiego podobny, że łatwo o nieporozumienie. Naturalnie — zadeklarował dalej w imieniu Polskich Sił Zbrojnych — nikt z polskich żołnierzy nie ma nic przeciw Holandii, ani przeciw jej marynarce. Ale gdy kto usłyszy w miejscu publicznym w Anglii na przykład „Deutschland, Deutschland ueber alles“, to go zła krew zalewa („bad blood flooded“). A to, co śpiewało dziewięciu aliantów holenderskich, było bardzo podobne właśnie do tej prowokacyjnej pieśni. I właśnie z tego powodu wynikło nieporozumienie.

Sędzia chciał się jeszcze dowiedzieć, w jaki sposób czterech polscy lotnicy dali radę dziewięciu przeciwnikom i poturbowali ich dotkliwie, sami wychodząc bez szwanku. Na to Pryszczak odrzekł skromnie, że Polacy są do tego rodzaju bitew przyzwyczajeni („accustomed“), — i stąd wniosek, kto jest najcenniejszym aliantem Wielkiej Brytanii.

Potem nastąpiło badanie Holendrów. Okazało się, że poturbowani ulegli zupełnemu zaskoczeniu i nie mieli nawet czasu na przeciwnatarcie, gdy już znaleźli się na ulicy. Mimo to nie żywią do strony polskiej żalu, ponieważ dzięki awanturze mieli sposobność po raz pierwszy bliżej poznać polskich lotników, dla których mają wiele uznania i sympatii.

Wreszcie zapadł wyrok: sędzia skazał każdego z czterech Polaków na funta grzywny i, wyjawsz portfel, sam za nich tę grzywnę zapłacił, co publiczność przyjęła owacyjnie.

Tegoż dnia po południu pojechaliśmy do Northolt i odlecieliśmy z powrotem na stację. Pryszczak przez cały czas był milczący i zadumany, mimo odniesionego tryumfu. Dopiero kiedy wydładowaliśmy na własnym lotnisku i wysiedliśmy z maszyny, wygłosił krótki komentarz w związku z nowonabytymi doświadczeniami.

— W Rumunii na przykład — rzekł — w ogólności do sądu by nie doszło, bo postronkowy policja za jedno sto albo dwieście lei ten dany raport by unieszkodliwił. We Francji znów sędzia by żadnego wyrozumienia dla nas nie miał. Już o Niemcach nawet nie mówię, a według karalnego kodeksu bolszewickiego, to w try miga by się z nami i z Holendrąm razem załatwili pod ścianom. Dlatego faktycznie tu się mnie lepiej obdukcja sądowa podobna. I nawet taki sędzia, choć stypne perugie na głowę ubiera, poważanie publiczne posiada. Kurtularny naród, można powiedzieć, a jestem już takim człowiekiem, że nie lubię kantu porzonnemu ludzkiem robić; wskutkiem tego proszę jedną mam do pana kapitana, a także samo kolezka Ferenc.

Jak zwykle nie wiedzieliśmy, do którego z nas się to stosuje: do Zygmunta, czy do mnie. Pryszczak zaś spojrział spod oka na nas obu i dodał:

— Względem ty świni, panie kapitanie...

— Cóż to za prośba? — spytałem zachęcająco.

— Bo faktycznie, jak pan kapitan wie, to myśmy te świnię kupili. A z kielbas i ze szynki, co ją do kasyna i do naszej messy wzięli, to zarobiliśmy z kolezka Ferencem po cztery funty i parę szylingów każdy. No to właśnie takie życzenie mamy, żeby te forse ewentualnie na Czerwony Krzyż dać, albo na co, żeby honorowe wyjście z tej sytuacji było.

Sięgnął do kieszeni, wyjął banknoty i srebro i wręczył mi je z westchnieniem. Nie byłem całkiem pewien, czy jest to westchnienie ulgi czy żalu, ale pochwałem dobrą intencję obu współników. Oni zaś porozumieli się oczyma i Pryszczak dodał jeszcze:

— A w gazecie może pan kapitan wyszczególnić, że te forse familia Thistle w charakterze bezimienny ofiary składa.

Porucznik Herbert

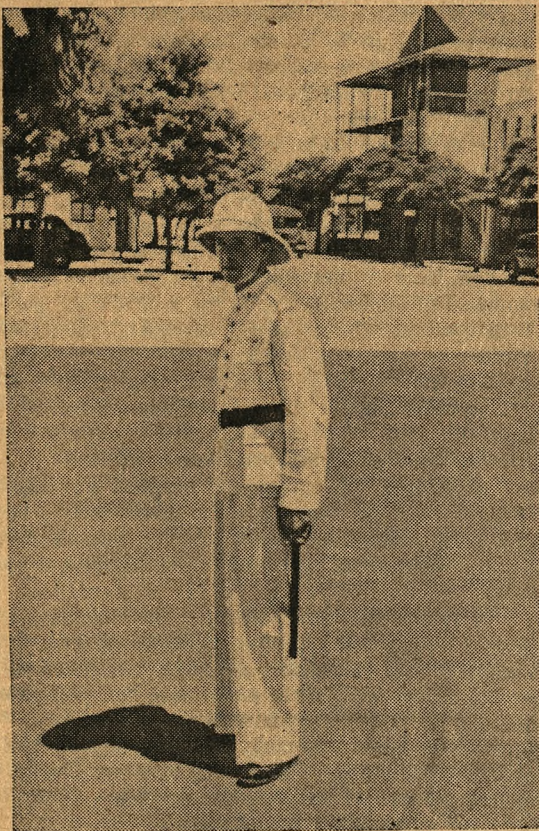
JERZY POMIAN

LISTY Z PODRÓŻY DO AFRYKI¹⁾

Przez Mozambik

Podczas pobytu w Nairobi dokonałem krótkiego, kilkudniowego wypadu do Tranganiki. Zwiedziłem tam osiedle polskie w Tengeru, położone u stóp śnieżystego wulkanu Meru, a oddalone o kilkadziesiąt mil od słynnej góry Kilimandżaro. Ponieważ podróż do Tengeru opisałem na innym miejscu²⁾, wspomnę więc tylko, że to wielkie osiedle polskie jest dobrze zorganizowane i zagospodarowane. Pracą polską stworzono tam rozległą fermę, dostarczającą warzyw dla całej ludności osiedla, jak również wiele warsztatów wytwórczych, produkujących nie tylko dla uchodźców, ale również i na sprzedaż. Uderzyła mnie również w Tengeru dobra organizacja harcerstwa i szczególnie, zdrowy wygląd dzieci, stanowiących blisko połowę mieszkańców osiedla.

Innych osiedli polskich w Tanganice, niestety, nie miałem sposobności zwiedzić. Oprócz Tengeru, w którym osiedlono 3700 uchodźców, są tam jeszcze trzy mniejsze osady —



Policjant w Mombasie

Kidugala, licząca 750 mieszkańców, Ifunda — 800 mieszkańców, i Kondo, najmniejsza, bo licząca zaledwie 350 uchodźców. Wszystkie położone są w głębi płaskowyżu tanganickiego, w odległości mniej więcej 200 mil jedno od drugiego, przy czym dotarcie do nich od strony Nairobi wymaga wielu dni podróży samochodem.

Po powrocie z Tengeru do Nairobi dowiedziałem się, że do Rodezji skierowano mnie drogą okrężną, przez Mombasę, Mozambik i Beirę — do Salisbury i dalej do Livingstone i Lusaki. Jest to droga dłuższa i bardziej skomplikowana, niż przelot nad Tanganiką, ale pozwoliła mi ona na zapoznanie się z osiedlami polskimi w Południowej Rodezji, których nie miałem początkowo nadziei zobaczyć no i — na ciekawą wizytę w Portugalckiej Afryce Wschodniej.

Z Nairobi wyjechałem wieczornym pociągami, aby rannym stanąć w Mombasie. Port ten, o starej tradycji, jeszcze z czasów arabskich i portugalskich, poznałem w ciągu dnia, który pozostał mi do odlotu. Po umiarkowanym klimacie Nairobi upał, mimo wiatru, wydaje się tu okropny. Po półgodzinnej wędrówce riksą — nie mogę patrzeć na ociekającą potem Senegalczyka, który mnie ciągnie — placę za godzinę, przenoszę się do otwartej taksówki i objeżdżam właściwie miasto, położone na wyspie, oraz osiedla murzyńskie, leżące opodal na lądzie. Zabytki portugalskie w mieście są liczne i ciekawe. Najpiękniejszym jest Fort Jezus, z XVII wieku, dziś zamieniony na więzienie, położony nad cieśniną, oddzielającą Mombasę od lądu. Tu w końcu XVIII wieku rozegrała się ostateczna walka pomiędzy Portugalczycami, władającymi Mombasą od 300 lat, a Arabami. Fort Jezus padł po kilku latach oblężenia, kiedy zawiodła oczekiwana odsiecz portugalska z Goa.

Charakterystycznym drzewem dla Mombasy jest baobab. Niektóre okazy są naprawdę olbrzymie, choć niewątpliwie mniejsze od owego legendarnego w Tanganice, w którego pniu mieściła się w r. 1916 kwatery główna generała Smutsa. Baobab jest drzewem o nieproporcjonalnie grubym, krótkim pniu i o krótkich skąpych konarach. Tors atlety — a

repe dziecka. Na lądzie, w osadzie murzyńskiej, miejsce baobabu zajmuje palma kokosowa, spowita festonami wspaniałych fioleto- wych i żółtych pnączy.

Na ludność Mombasy składają się wszystkie chłaby rasy świata. Podkład — to cztery miejscowe plemiona: Buruma, Giriama, Nyika i Swahili. To ostatnie plemię dało Afryce Wschodniej jej lingua franca, biorąc w charakterze tragary i żołnierzy przez stulecia udział w wyprawach odkrywczych, organizowanych z Mombasy w głąb lądu afrykańskiego przez białych i Arabów. Obok plemion miejscowych widzi się czarnych Somalisów, jaśniejszych Akamba i Kikuju z Kenii Środkowej, oraz dziesiątki innych szczepów murzyńskich — różnych w budowie ciała i kolorze skóry. Społeczeństwo hinduskie w Mombasie składa się również ze wszystkich chłaby ras Indii, a obok Arabów z Zanzibaru spotyka się tu często kupców arabskich z Egiptu i Syrii. Goanici wreszcie reprezentują pozostałość po okresie portugalskim Mombasy. Wszystkie te rasy, oraz nieliczni stosunkowo biali, żyją obok siebie, miesząc się rzadko i reprezentując najfantastyczniejsze typy fizyczne — od szczupłego, na ptasich nóżkach, murzyna z pogranicza Kenii i Somali do otyłych, rozlanych, „stupudowych“ kupców hinduskich.

Sklepy, banki, przemysł w Mombasie — to wszystko znajduje się przeważnie w rękach hinduskich. Wystawy sklepowe pełne są przede wszystkim towarów, które wytwarzają Indie. Goanici pracują przeważnie jako „clerkowie“ w urzędach angielskich i w bankach, a czarni wykonywują pośledniejsze funkcje, od policjanta, do rikszy.

Nazajutrz po przyjeździe do Mombasy odlatuję wodnopławcem na południe. Wiezie mnie ta sama „flying boat“, którą przed 12 dniami przybyłem do Kisumu. Zdażyła już w tym czasie dotrzeć do Durbanu, wrócić stamtąd do Kairu i teraz leci z powrotem z Kisumu na południe. Przez pierwszą godzinę lecimy z oknami szczelnie zasłoniętymi. Kiedy wreszcie zastony rozuwają, nie widać nic, tylko niebo i morze — przedziwnie niebieskie, wspaniałe, spokojne. Dopiero za chwilę nala- tujemy na wyspy Pemba i Zanzibar. Z góry widać doskonale głębie i płycizny. Oznacza je kolor wody, z głęboko ultramarynowego stopniowo przechodzący w szmaragdowo zielony. Wyspy są pokryte gajami palmowymi i plantacjami gwoździków, wśród których rozrzucono tajemnicze miasteczka i wsie. Ani fortu w Zanzibarze, ani pałacu sułtana z tej wysokości rozróżnić nie można. Niekiedy śnieżyste obłoczki, przepływające pod samolotem, przysłaniają w całości lub częściowo widok na wyspy, jarząc się oślepiąco w słońcu.

Nocleg tego dnia wypada w Mozambiku, a właściwie na lądzie naprzeciwko Mozambiku, który położony jest na wyspie. Niestety, za późno już na wycieczkę motorówką do miasta. Zato lokujemy się w doskonałym hotelu British Airways i robimy daleką, okrężną wycieczkę pieszą do okolicznych wsi murzyńskich. Uderza od razu odmienne zachowanie się ludności tubylczej, niż w koloniach brytyjskich. Zwłaszcza kobiety przyglądają się nam śmiało, niektóre nawet z wyraźną kokieteryą. Kilka, bardzo zgrabnych i wysmukłych, jest koloru jasno kawowego. Mają długie włosy, zamiast zwykłej u murzynów obojga pici welnistej czupryny. Jest to widoczny wpływ mieszania się z Portugalczycami. Zresztą wszyscy tutejsi „biali“ wyglądają z kolei tak, jak gdyby mieli domieszkę krwi murzyńskiej. Wyjątek stanowią tylko Żydzi portugalscy, którzy unikali mieszania się i są dziś jedynym prawdziwie białym elementem kolonii. Bliskie współżycie czarnych z białymi, zabronione prawem na terenie Brytyjskiej Afryki Wschodniej, a niekiedy karane śmiercią podług praw kenijskich, wywołuje zgorznienie u moich angielskich towarzyszy podróży.

Nazajutrz o świcie odlatujemy do Beiry. Droga jest nieco monotonna nad ultramarynowym oceanem i zieloną linią dżungli nadbrzeżnej. Dopiero przy ujściu Zambezi następuje podniecający moment lotu. Pilot zniża się do 100 metrów i kilkakrotnie okrąża deltę. Samolot płynie teraz nad sawannami i bagniskami nadrzecznymi. W pierwszej chwili nie orientujemy się, jaki jest cel tego manewru, i sądzimy, że oznacza on zejście do wodowania. Ale już po chwili wszyscy tłoczmy się przy oknach. W dole, pod nami, aż się roi od wszelkiej zwierzyny. Widać jak na dłoni bawoły w stadach po 50 i więcej, czarne nosorożce, pojedynczo, albo w grupach po kilkanaście, słonie i antylopy. Wszystko, poruszające się na nogach i widokiem olbrzymiego ptaka, przebiega z miejsca na miejsce. Bawoły zadzierają w górę ogony i puszczają się w cwał. Nosorożce atakują wielki cień samolotu, niby jakieś olbrzymie, apokaliptyczne zwierzę. Ten widok, naprawdę poruszający i imponujący, trwa długą chwilę. Wreszcie wodnopławiec wznosi się ponownie do góry i po kilkunastu minutach wduje w Beirze. Wy-

chodzimy na ląd w samym środku miasta, które, złane żarem południa, jest jak wymarłe. Wszystko poukrywało się w domach, sklepy i restauracje zamknięte, do hotelu zaledwie można się dostać. Mimo pory sjeisty i straszego upału spaceruję po mieście i zwiedzam je.

Oczekując na połączenie kolejowe do Salisbury, bawiłem w Beirze przez trzy dni. Nie wiele jest w niej do widzenia. Rzecz, która w Portugalckiej Afryce Wschodniej najbardziej uderza współczesnego Europejczyka — to kuchnia. Menu śniadania, lunchu czy obiadu składa się z 10—14 dań, tak jak w Anglii za czasów Regencji, albo w Polsce przed wiekiem. Równie obficie jadają zresztą i w Rodezji. Produktów jest nadmiar, wywóz jest utrudniony, trzeba je zjeść. Ceny tego wszystkiego są niskie, jeżeli zestawić z obfitością, ale mimo to wysokie podług dawnych miejscowych warunków. Pensjonat z całkowitym utrzymaniem w najlepszym hotelu w Beirze kosztuje nieco mniej niż funta dziennie. Ceny towarów w sklepach są też stosunkowo wysokie i niewiele się różnią od cen na rynkach Afryki Brytyjskiej. Na każdym kroku zresztą widać tu uzależnienie gospodarcze od Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a przede wszystkim od Afryki Południowej, jedynego w chwili obecnej dostawcy artykułów przemysłu. Jednakże sporo tu jeszcze towarów europejskich, m. in. tanie są samochody marek hiszpańskich.

Namawiano mnie, abym zwiedził nocny lokal „Pingwin Club“ — podobno szczególnie atrakcyjny. Miałem na to ochotę, mimo że znajomi angielscy odradzali mi, oburzeni, iż tancerki tam są czarne i kawowe. Przyczyną, która kazała mi zrezygnować z tej wyprawy, były jednak nie tyle względy moralności rasowej, co moskity. „Pingwin Club“ leży nad zatoką, na biotnym przedmieściu i tak już bardzo malowniczej Beiry. Nie poszedłem. Nie wiem, czy uniknąłem w ten sposób malarii, ale wiem z pewnością, że straciłem sposobność zobaczenia atrakcji, z której Beira



Baobab

stanie u marynarzy okrętów, jakie się tam zatrzymują.

Podczas pobytu w Beirze miałem ciekawe spotkanie. Wszedłem do sklepu, którego właściciel — sądząc z wyglądu i zupełnie białego koloru skóry — Żyd portugalski, targował się z kapitanem amerykańskiej marynarki handlowej. Amerykanin mówił po angielsku, a Portugalczyk tego języka nie rozumiał. W pewnej chwili kapitan, zirytowany bezowocnym targiem, splunął soczyscie i ku mojemu serdecznemu zdziwieniu palnął w archaiczną polszczyznę:

— Tfy, z tym pieronem nijak się porozumieć nie można!

Na to domniemany „Portugalczyk“ odparł z uprzejmym uśmiechem na ustach:

— Czego Pan zaraz od „pieronów“, nie może Pan mówić po polsku?

Powiedziałem sensację, prezentując się jako trzeci rodak i po szybkim już teraz zakończeniu targu, poszliśmy wszyscy na drinka.

— Ja się nazywam Zabłocki — mówił kapitan — urodziłem się w Cincinnati, ale mój ojciec był z Poznania.

— A ja się nazywam Weiss — przedstawił się kupiec — czterdzieści lat tu mieszkam, ale pochodzę z Podgórze, pod Krakowem.

¹⁾ Por. Listy z Afryki w nrze 10 (28) z 16 maja b. r.

²⁾ W nrze 9, dwutygodnika „Parada“ z dn 1 maja b. r.

JOZEF TECHNOLOG

List z drogi Karpackiej Między 2-gim a 3-cim aktem

Jest po drugim akcie kampanii włoskiej Karpackiej. Dywizja — po walkach pod Cassino — zjeżdża na południe prowincji, w której rozegrała się także pierwsza faza naszych walk w tym kraju. Jesteśmy w tej okolicy po raz pierwszy. Nie znamy kraju, ani ludzi — egzotyczni goście dla miejscowej ludności. Nas także nie znają prawie zupełnie. Wiedzą jedynie z dzienników, że zdobyliśmy klucz niezdobyty przed nami, słynnej linii obronnej Gustawa, do której szturmowały przez pół roku nadaremnie wojska wszystkich prawie narodów sprzymierzonych. Świeża jest ta wiedza o nas, niemniej otacza nas aureolą szczyrego podziwu i legendy, która narasta z dnia na dzień.

Stosunek ludności do nas w miasteczku P., gdzie stoimy, rozwija się według tradycyjnego już dla nas włoskiego szablonu. Pierwszego dnia zachowują się z pełną rezerwą i nieufnością: mało kto nas pozdrawia, piękne dziewczęta nie patrzą na nas i skąpią uśmiechów, starsi badają oczami krytycznie, z widoczną obawą. Atmosfera przyjazdu jest zimniejsza, niż gdziekolwiek indziej przedtem. Powoli zaczynamy nawiązywać pierwsze kontakty. Trzeba oddać bieliznę do prania, skrócić szorty, naszyć nowego „świerka“, odprasować długie spodnie po podróży — i dziesiątki innych prac czekają na chętne kobiece ręce. Włoszki przyjmują, zwłaszcza, że ku ich niemałemu zdumieniu, mówimy niemal wszyscy ich językiem. Oto zawiązuje się dialog. Żołnierz z zawiniątkiem pod ręką podchodzi do najsympatyczniejszej dla niego signory lub signoriny:

— Boun giorno, signora!
— Boun giorno!
— Volet lavare questo — żołnierz proponuje wypranie i uzyskuje zgodę, z zastrzeżeniem, że signora, która się w tej chwili uśmiecha, nie ma mydła:
— Sì, ma niente sapone.
„Sapone“ jest wewnątrz zawiniątka i rozmowa kończy się sakramentalnym „bono“ i „domani“.

Wszystko jest zrozumiałe — bielizna oddana do prania — nie do Mani, lecz do Doloraty — będzie gotowa jutro.

Wieczorem żądni prawdy pragną dociec jej w winie. Równoległe z rozpoznaniem praczek, krawcowych i fryzjerów idą poszukiwania sklepów i napojów. Dobre wino trudno znaleźć. Znikło gdzieś lub ukryto je na lepsze czasy. Ze starym włoskim winem jest podobnie jak z faszyzmem: jest i równocześnie go nie ma; jednak gdy się dobrze potrudzić — poszukiwania wieniec powodzenie. Nie każdemu się to wszakże udaje. Karpacka brać pije drogie — „dobre wino“, obficie chrzczone, lub mieszane przez Włochów oraz łatwo dostępne, bo młode — „vino rosso“ lub „bianco“ — b. tanie i cierpkie, pospolitym sikaczem zwane. Wieczorem przy winie odzywa się polska pieśń — niecodzienny gość namiętej włoskiej canzonny. Brzmi ona potosem północy, ostrą tęsknotą za krajem i odcina się surowym, męskim rytmem od słowiczych pieśni pięknych signorin.

*

Niezawodnym odczytnikiem do badania naszych serc i kieszeni jest odmawianie nam podania ceny za wszelkie usługi i prace. Włoch lub Włoszka — zapytani o cenę — robią zdziwioną minę, wruszają ramionami i mówią: „He! Come volete“ — pozostawiając decyzję nam. Wychodzą na tym zawsze dobrze. Dobre serce polskie płaci cenę od kilku do kilkunastu razy wyższą od normalnej, ustalonej. Nie pomagają nawet oficjalne angielsko-włoskie cenniki fryzjerskie. Golenie kosztuje w nich 2 liry — płacimy przeciętnie 15—20, i więcej. Kiedy bardziej oszczędni zwracają uwagę innym na tę rozrzutność, spotyka ich replika:

— Oni tacy biedni, i tak za te liry nie kupić nie można, ceny rosną dalej.

*

Żołnierz, po pustyniach Iraku i Egiptu, pragnie zbliżenia z cywilną ludnością. Zaczyna się od zdawkowych pozdrowień i rozmów. Następuje bliższe poznanie, odwiedziny i efemeryczne życie towarzyskie. Po służbie żołnierz składa wizyty, wysłuchując przeważnie dzieł kraju przed naszym tu przybyciem, pod okupacją Niemców, zawsze w czarnych przedstawianych barwach. Opowiadania te są celowo mocno przesadzone.

Stodkie są nasze czekolady, miłe są uśmiechy signorin. Sympatia rośnie szybko. Nasi żołnierze lubią śpiew i wino. Pięknie śpiewają Włoszki i żaden naród im w tym nie dorówna. Niezwykła muzykalność, piękny z natury głos i wrodzona namiętność śpiewacza sprawiają, że słuchanie ich śpiewu jest dla nas wszystkich przyjemnością wysokiej klasy. Wąskie uliczki małego P. rozbrzmiewają cały dzień strzelistym śpiewem. Niesie się on między domami i stanowi muzyczne dopełnienie krajobrazu włoskich miasteczek obok malowniczego tła gór, pokrytych bujną, puszystą zielenością i jasnego świetlistego nieba.

*

Rewelacją — w stosunku ludności w P. do nas — jest pierwsza niedziela z pierwszą

w historii miasteczka polską mszą, odprowadzoną przez księdza proboszcza Dywizji w miejscowym kościele. Serca ludności zdobyte są wstępny bojem przez tę jedną niedzielę. Nasza religijność znajduje żywy oddźwięk w umysłach wszystkich obywateli. Ustaliło się już we Włoszech powiedzenie: „Tutti Polacci — boni catolici“.

Jest dużo małych dzieci w P. i wiele z nich jest głodnych. W czasie obiadów i kolacji gromadki bambinów czekają obok żołnierskiej kuchni na swój udział; zostawiamy im część posiłku, którą zjadają z wdzięcznością w oczach i myją potem — pod fontanną, tkwiącą na środku rynku, nasze prostokątne, cynowane męzaki.

Starsi panowie, ojcowie dzieci, pozostających gdzieś, w zamieci wojny — daleko od nas, w kraju lub na wygnaniu — adoptują choć na kilka dni lub nawet godzin dzieci włoskie. Porucznik z saperów upodobał sobie małą, sześciolletnią Mariję. Ma czarne, ogromne, zdumione oczy i dwa krucze, cienkie warkoczki. Codziennie rano, w południe i wieczorem prowadzi przybrany ojciec dziecko czasu wojny na spacer. „Ojciec“ mówi do Marii po włosku, nadrabiając braki w znajomości języka dyskretną gestykulacją. Dziecko jest zadowolone i — co najważniejsze — najedzone. Porucznik karmi je regularnie z czułą troskliwością; kupuje Marii owoce i dziecko zjada cały jego fasunek czekolady. Oboje są bardzo szczęśliwi...

Stroną uliczką idą związani dłońmi, jakby los ich połączył nierozdzielnie. Sprawia to wrażenie trwałości tego arcyłudzkiego związku, wrażenie, które jest — niestety — którąś z rządu iluzją naszą, świadków tej sceny, oraz jego, polskiego wygnańca — i małej, czarnowłosej Marii, która nic nie wie i nie nie rozumie, bo jest... głuchoniema. Nie przeszkadza to ich serdecznemu związkowi. Wzruszenie ogarnia nasze serca czasu pokoju na widok tej manifestacji ludzkiego uczucia.

Pułkownik R. jest zakochany w 12-letniej Antoninie; jest chuda, smągła, czarnooka i ma piękny, słowiczy głos. Te przyjaźni, której nie ma 40-letnia różnica wieku, spaja niemiernie czekolada. Pułkownik codziennie po pracy przyzywa dziecko i obdarowuje czekoladą. Z wdzięczności Antonina śpiewa mu swoje najpiękniejsze, dziecinne piosenki.

Trudno przejść ulicą bez czekolady. Bambina włoskie wybiegają na spotkanie żołnierzy ze słodkim hasłem „cioccolata“, otrzymując w odwzecie ulatek brazowego szczęścia. Inaczej nie przepuszczają. Dobry żołnierz nosi zawsze w kieszeni czekoladę.

Piękny jest śpiew włoskich dzieci. Władkowi nie daje on spokoju. Odrzuca od pracy, niepokoi i wabi zalotnym wdziękiem. Z wąskich, kamiennych uliczek o mocnym rezonansie, z bram wielkich, lukowo sklepionych okien sąsiednich — na przemianę — biją strumienie dziecięcych głosów, ciesząc uszy słodką, aksamiitną kantyleną. Jakby chmara słowików rozbiegła się po małym włoskim miasteczku.

O zmierzchu Władek zbiera dzieciarnię i organizuje przygodny chór. Dziewczynki od pięciu do dziesięciu lat gromadzą się pod naszym balkonem i zaczynają śpiew zestrojony, harmonijny, rozłożony samorzutnie na głosy. Śpiewają godzinami niezmiennie, w nadziei na obiecane tabliczkę czekolady. Mieszkańcy sąsiednich domów mają bezpłatny koncert. Cała ulica ma rozrywkę. Żołnierze bawią się — włoskie dzieciaki też — i tak rośnie przyjaźń, której patronuje czekolada i śpiew...

*

Wypoczynek dobiega końca. Ostatnie dni naszego pobytu w P. mijają pod znakiem kultury; odbywa się festiwal sztuki polskiej, z licznym udziałem włoskiej publiczności — festiwal — jak na nasze żołnierskie warunki; w ciągu dwóch kolejnych dni 3 imprezy: film, wyświetlony aparatem jednego z baonów, występ Teatru Dramatycznego APW z dobrze odegraną komedią Moliere'a i — na ostatek — wesołe widowisko Czołówki. Na rynku miejskim zainstrowana scena i widowiska; krzesła z całego miasta, nie wyłączając kościoła; Scapen na drabinie bawi mieszaną publiczność włosko-polską. Z okolicznych oddziałów zjechali się żołnierze. Za mało jest miejsc — ogromny panuje gód rozrywki. Wokoło widowni, na podstawionych samochodach, na budach, gdzie się da — dziesiątki żołnierzy, dla których zabrakło krzeseł. W krąg rynku, na balkonach, na dostępniejszych dachach — imy mieszaną publiczność. Każdy chce zobaczyć, każdy jest ciekaw sztuki, wystawionej przez to dziwne wojsko, którego nieodstępny rekwizytami są: Teatr, Czołówka i Kino. Scapen tryumfuje, sztuka się kończy, rozbawione towarzystwo odchodzi do domów...

Kończy się także nasz pobyt w P.

W przeddzień naszego wyjazdu, na murach miasta rozlepiono złote plakaty, podpisane przez mera miasta P., manifest włosko-polskiej przyjaźni, owoc krótkiego naszego tutaj pobytu.

KRONIKA FILMOWA

Niemcy w Ameryce

W repertuarze filmowym wyraźnie przeważają w tej chwili trzy typy filmów: film wojenny, rewolwy i antynazistowski. Pod pojęciem filmu, związanego tematycznie z wojną, można podciągnąć wiele dramatów, melodramatów i nawet komedii. Pokazywanie we współczesnej komedii młodego człowieka w cywilnym ubraniu byłoby i anachronizmem, i momentem drażniącym, to też w każdej akcji filmowej, związanej z realistycznym tłem amerykańskiego życia, albo pojawia się żołnierz, albo happy-end łączy się z pożegnaniem i odejściem ukończonego do armii. Produkcja filmowa, ratując się przed monotonią, zwróciła się w stronę rewii, operetki i komedii muzycznej, ograniczając przedwojenną komedię obyczajową. Ale nawet i w zakresie rewii włączyły się tematy, związane z wojną i wojskiem. Jazz połączony z tańcem akrobatycznym, pokazem glamour-girls, lekka, wesoła akcja — typowa rozrywka wojska w teatrach EFT, stał się także blachą, atematyczną rozrywką ludności cywilnej. Dla okraszenia jej sentymentem, dla zbliżenia do widza, scenarzysta wprowadza jako bohatera żołnierskiego żołtódzoba z ówczesnego campu, bohaterką czyni dziewczynę z obozowej kantyny.

Ta pogodna propaganda służby wojskowej mogła wystarczać w okresie przygotowań wojennych i w początkach udziału Stanów w wojnie, musiała natomiast wyglądać dość dziwnie wówczas, gdy Ameryka traciła Filipiny, ponosiła ciężkie straty w ludziach, gdy flota ulegała chwilowo przewadze nagłych ataków japońskich.

Wtedy też zrodził się amerykański film wojenny. Cechy jego są proste: szczerość, brutalność, nienawiść do Japończyków i pelen determinacji heroizmu. Heroizm, który wskazuje, jak jeszcze młodym narodem są Amerykanie i jak bardzo łańką umieszczenia przykładów bohaterstwa w swej historii. Angielski film o wojnie ani nie ukrywa okropności, ani też nie udaje, że wszyscy zdrowi i cali powracają do domu, nie jest jednak nigdy pesymistyczny i do ostateczności tragiczny. Amerykańskie natomiast obrazy napoly dokumentarne, napoly dramatyczne, przedstawiają z upodobaniem sceny desperackich poświęceń, wysiłków może nawet i niezbyt celowych od strony ich wartości wojskowej, ale mających zato blask czynów, okrywających honorem gwiazdźistą armię. Japoński nalot na bazy floty na Pacyfiku znalazł odbicie w filmie „Wake Island“, gdzie spośród obsady maleńkich wysp, ostatniej rubieży posiadłości amerykańskich, wysuniętych w stronę Japonii, nikt się nie poddał, nikt nie wychodził żywy, poza lotnikiem, odwołującym raport obrony. Towarzysz jego ginie, pikując na japoński okręt z ładunkiem bomb.

Spółród kilkunastu obrońców trudnej przeprawy przez rzekę na Filipinach również nikt nie pozostaje przy życiu, choć zadanie stało się oczywiście niewykonalne i odwrotu byłby moralnie całkowicie usprawiedliwiony. Także i tu, w owym drugim heroicznym obrazie, „Bataan“, ranny pilot składa ofiarę ze swego życia, burząc kraksą samolotu japoński most.

Stosunek filmu do Japończyków jest bezwzględny: znienawidzonych „Japs“ amerykański obraz przedstawia raczej jako zwierzęce potwory o ludzkich kształtach, niż ludzi, podobnie jak to czyni z Niemcami film sowiecki. Ale już do Niemców amerykański stosunek jest inny. Przede wszystkim, jak dotąd, film nie pokazywał bezpośredniej walki żołnierza amerykańskiego z niemieckim, temat wojenny obejmował bitwę nad Anglią, kampanię libijską, walki ruchów podziemnych, ograniczał się do reportaży i filmowych dzienników z frontów, na których zjawili się żołnierze Stanów Zjednoczonych.

Propaganda filmu amerykańskiego zwracała się, jeśli idzie o Niemców, nie ku samej wojnie, lecz ku jej przesłankom moralnym. Widocznie nie było tej potrzeby wobec wojny na Pacyfiku, zapewne istniały zaś względy, które każały tłumaczyć, czemu Stany Zjednoczone mają waloczyć na Atlantyku i w Europie. Jeszcze w początkach wojny film, choć oddawał hold obronie Londynu i opowiadał o współudziale ochotników amerykańskich, przejawiał często tendencje izolacjonistyczne. Nawet popularna powieść dla młodzieży „Swiss Family Robinson“ otrzymała wstęp, tłumacząc emigrację całej rodziny z Anglii jako ucieczkę przed niepokojami wojny, agresjami Napoleona, i poszukiwanie szczęśliwej wyspy, na której żyć będzie można z dala od konfliktów starego świata. Owa wyspa pokoju, pogody, obdarzona przez naturę wszystkimi dobrodziejstwami, to symbol Ameryki.

Później, gdy pojawiły się pierwsze filmy antynazistowskie, wykorzystywano grozę odgródzonych od świata Niemiec, dla „romans d'aventure“, pełnych fantastycznych przygód. Bohaterami byli zawsze Amerykanie, jedyni ludzie wolni i swobodni w państwie hitlerowskiego terroru („Pimpernel Smith“, „Escape“). Roli politycznej Niemiec w Europie nie atakowano, oskarżano jedynie ustrój, uwidatniając w hitlerowskim sposobie rządzenia to wszystko, co budzi wstręt w Amerykaninie, a więc przemoc, zanik życia indywidualnego, rozbięcie rodziny, utratę nietykalności domowego ogniska, równocześnie kreślono postacie Niemców w sposób „mogący“ wzbudzać mimowolny podziw dla ich sprężystości organizacyjnej, systematyczności, odwagi, siły charakteru. Sekundował tu nawet świetny film angielski „Parallel 49“, gdzie obok przedstawienia istoty konfliktu między niemieckim a zachodnio-europejskim ideałem cywilizacyjnym, nie zabrakło hitlerowców, niemal imponujących w swej wytrwałej wierze, oddaniu sprawie i dziel-

ności. Stąd już tylko krok do wprowadzenia na ekran „dobrych Niemców“.

Obrazowanie potworności niemieckiego życia budziło sympatię dla obozu Sprzymierzonych, ale nie poruszało najistotniejszego motoru walki: poczucia niebezpieczeństwa. Dały to dopiero filmy antynazistowskie, rozgrywane się na terenie amerykańskim. Film począł ostrzegać przed niebezpieczeństwem piątej kolumny, przed szpiegostwem wojennym, przed agentami, którzy zwodzą łatwowiernych obywateli amerykańskich, z pochodzenia Niemców, rozsiewają idee hitlerowskie i dokonują aktów gwałtu.

Ten typ produkcji reprezentuje „International Lady“, a określa ją wymownie tytuł filmu „They Came to Blow Up America“. Oskarżając Niemców, budząc nieufność wobec Amerykanów o krwi niemieckiej, film musiał czym prędzej zaznaczyć podział między Niemcem „złym“ i Niemcem „dobrym“. Tego wymagał wzgląd na znaczny procent emigracji niemieckiej.

Najbardziej jednak przemawiały do wyobraźni filmy, przestrzegające przed adaptacją metod hitlerowskich w Ameryce. Akt gwałtu, dokonany przez niemieckiego agenta, był dla Amerykanina zamachem na jego prawa, na jego demokratyczny dorobek. Tu wskazywano mu bezpośrednie niebezpieczeństwo, podsuwając wniosek o konieczności zerwania stosunków z Niemcami. Natomiast próba przedstawienia ideologii hitlerowskiej na terenie amerykańskim zawodziła, wobec niedostatecznego uchwycenia istoty niemieckich założeń. W obrazie „The Keeper of the Flame“ żona uczonoego, polityka, bohatera ludowego, popełnia morderstwo, poświęcając dla dobra kraju życie męża, który zaczął przejawiać skłonności „hitlerowskie“. Polegały one na organizowaniu młodzieży, niezadowolonej z podziału dochodu społecznego i narażonej na bezrobocie. Nie wiadomo, czy film ten podobał się żołnierzom, wracającym z frontu do domu...

Kilka innych obrazów zbliżonego typu („Pilot Nr. 5“) posiada również mętną ideologię i fałszywe wyobrażenie o naziźmie. Niemieckie ambicje zjednoczenia Europy, ich realizacja drogą terroru, nie wchodzi w zakres tych problemów. Nazizm sprowadza się do terroru i antysemityzmu: Niemiec o tendencjach demokratycznych będzie więc automatycznie „dobrym“ Niemcem, choć właśnie stressemansowska demokracja utworzyła drogę późniejszego sukcesu Hitlera. Łączy się też z tym nieumiejętność stworzenia typu psychicznego hitlerowca, odsłonięcia tych skażeń, jakim podlega człowiek, odrzucający humanistyczny stosunek do świata. Należą do amerykańskich filmów, są przeważnie poprawnymi gentlemanami, wykonującymi brutalne zarządzenia w imię wyższej konieczności państwowej i wojennej. Nazista z filmu soczewicowego jest maskarą, sztuczną łałką o demonicznym uśmiechu; prawdziwy typ Niemca wymknął się jednemu i drugiemu. Tu też tkwi geniza tworzenia również abstrakcyjnych „dobrych Niemców“.

Typowym wyrazem amerykańskich tendencji wobec Niemców jest obraz „Watch on the Rhine“, mający wielki sukces w Stanach i uznany za jeden z najlepszych filmów 1943 roku. Jest więc tam i idealizacja Ameryki, jako kraju spokoju i szczęścia, i bezcenne amerykańskie obywatelstwa, wyprowadzające z trudności europejskich, i „dobry Niemiec“, który ponad pogodne życie w Ameryce woli wybrać powrót do Rzeszy, dla dalszego prowadzenia podziemnej roboty. Ameryka czeka na przeobrażenie Niemiec, pragnie wierzyć w reedukację, co sprowadza się ostatecznie do formuły, pozostawiając Niemcom, „dobrym“ Niemcom, ich miejsce polityczne i przemysłowe w Europie, ich miejsce polityczne i przemysłowe w Europie. Możemy być spokojni, że o „dobrych Japończykach“ nigdy nie będzie mowy... I właściwie nawet nowa seria filmów, już nie o ruchu podziemnym, ale o procesach przeciw „zbrodniarzom wojennym“ zwyciężonych Niemiec, będzie kontynuowała wpajanie tego samego przeświadczenia: odrębności złych jednostek i pocziwego, sterroryzowanego narodu.

Jeden jest jednak film, który pod wpływem książki, jaką streszcza, dał istotną sylwetkę „dobrego Niemca“. Porucznik Tonder w „The Moon is Down“ szuka przyjacielskiego kontaktu z Norwegami. Nie może zrozumieć ich głuchej nienawiści: oto Niemcy jednoczą i organizują Europę, pragną bronić jej cywilizacji, podnieść jej dobrobyt, niosą ludom europejskim zbawienie pod warunkiem uznania zabicielei. Prymat Niemiec, zastosowanie przemocy — wydaje mu się rzeczą naturalniejszą.

Jakie to bliskie krzyżackiemu nawracaniu! Dobrodziejstwa nie są dobrodziejstwami, jeśli narzuca się je gwałtem i każe pożywać pod obcą komendą. Prawdziwie wielki i powołany do jednoczenia innych jest ten naród, który dla swej misji cywilizacyjnej umie zapomnieć o swym egoizmie.

Jan Martyna

Artykuły, nadsyłane do Redakcji
powinny być pisane na maszynie
i adresowane nieosobowo: Do Redakcji „W Drodze“, Jerozolima,
Bezalet street, House Valero. — Artykułów niezamówionych Redakcja nie zwraca.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „W DRODZE“
UKAZAŁA SIĘ KSIĄZKA DLA DZIECI:

AWANTURY I WYBRYKI MAŁEJ MAŁPKI FIKI MIKI

Tekst K. MAKUSZYŃSKIEGO

Wielobarwne ilustracje M. WALENTYNOWICZA

Cena: 300 milsów.

Szekspir w parkach i na rynkach

Przed wojną Szekspir w londyńskim Regent's Parku stał się instytucją sezonu letniego. I słusznie był on sławny. Z części samego parku zrobiono naprawdę piękny teatr pod gołym niebem. Obszerny strzyżony trawnik był sceną; zamykały ją po bokach krzewy i żywopłoty, a różne drzewa tworzyły naturalną zasłonę z tyłu. W nocy — przed wprowadzeniem blackout'u — szekspirowska sztuka

organizowali serie wizyt, zabierali ze sobą dzieci.

Szekspir zawsze był grany przede wszystkim w szkołach — latem na placach grały go wędrownie trupy, zimą przedstawienia odbywały się w salach. Teraz, w czasie wojny, szkoły często własnymi siłami wystawiają Szekspira, i to nie tylko dla siebie, ale i dla domów uzdrowieńców i dla „gości”, ludności



„Henryk IV”, grany na rynku prowincjonalnego miasteczka

pastoralna w takiej inscenizacji to była nie- zwykła rozkosz.

Pierwszy okres wojny był szczególnie ciężki dla brytyjskiego teatru: bardzo wielu aktorów zmobilizowano do armii; nikt nie chciał wychodzić z domu w czasie black-out'u; nikt nie chciał opłacać przedstawień, na które publiczność nie przychodziła. Potem przyszedł „blitz”, bombardowanie Anglii i dalszy spadek frekwencji. Surowe ograniczenia krępowyły wtedy możliwości podróży; władze nie ułatwiały spędzania letnich wakacji nad morzem lub na wsi, dla większości robotników było to zresztą w ogóle niemożliwe. Dlatego rady miejskie w całym kraju opracowały plany „wakacji w domu”, a w planach tych

ewakuowanej z miast do okręgów rolniczych. A kiedy wędrownie trupy odwiedzają przemysłowe i handlowe miasta, aby grać pod gołym niebem, nawet próby odbywają się publicznie — ku wielkiemu zadowoleniu miejscowych dzieci, które tłumnie gromadzą się, aby skorzystać z bezpłatnej i niezwyklej rozrywki.

W czasie tej wojny Szekspir grany był pod gołym niebem w niezwyklej miejscach — na pustyni, na obłożonych wyspach, w dżungli Nowej Gwinei. Z dżungli tej pewien brytyjski kanonier, niegdyś aktor, pisał do Tyrone'a Guthrie, dyrektora trupy szekspirowskiej „Old Vic”: „Szekspira słuchano w pełnym u-wagi skupieniu. Przynosił on widzom dużą satysfakcję. Wywołuje to silną nostalgię. Kiedy



„Kupiec Wenecki”, grany dla młodzieży szkolnej przez trupę Ben Greet Players

przedstawienia Szekspira pod gołym niebem zajmowały szerokie miejsce.

Tak więc latem trupy aktorskie ze stałym repertuarem wyruszyły na swoje tury objazdowe; sławna trupa „Old Vic” wyruszyła w objazd po kraju, a Robert Atkins przeniósł swój Teatr Regent's Parku do innych parków — nie tak sławnych, ale często nie mniej pięknych. Ponieważ przedstawienia odbywały się przy świetle dziennym (czasem w wielkim namiocie, jako że letnia pogoda w Anglii nie jest zbyt pewna), sprawa pełnej widowni nie była już więcej problemem. Ludzie z radością korzystali z możliwości rozrywki, w czasie świąt, spędzanych w domu,

się ta cała chryja skończy, mam nadzieję, że wróć i byś może znajdzie mnie pan znowu w „Vic”.

Rodzaj twórczości pisarskiej Szekspira, która jest ludzka w tak szerokim znaczeniu tego słowa i głęboka, sprawia, iż wszystkie kraje świata dzieła jego przyjęły i spoufaliły się z nim. Fakt, iż atmosfera jego sztuk jest typowo brytyjska, pozostał niemal bez znaczenia — sztuki te są naprawdę „międzynarodowe”. Ta właśnie rozpiętość uczuć ludzkich sprawia, iż tak często wystawia się Szekspira w czasie tej wojny. Im bardziej aktywnie ludzie pracują i walczą, tym mniej mają ochoty na pływającą, dowiecipną rozrywkę: potrzeba im uczuć dobrej próby.

Literatura polska w oczach Anglików

Niżej podajemy dwa głosy angielskie o dwóch polskich powieściach historycznych, nie dawno wydanych w przekładzie angielskim. Jedną z nich — „Bez oręża” Zofii Kossak-Szczuckiej — jest, jak już o tym pisaliśmy, wielkim sukcesem wydawniczym w Stanach Zjednoczonych.

Henryka Sienkiewicza „Krzyżacy” („The Teutonic Knights”).

Kiedy zaczęłam czytać „Krzyżaków” Sienkiewicza, umyślnie odłożyłam przedmowę Lorda Vansittarta na koniec, nie dlatego, jakobym nie zgadzała się z jego uwagami, ale ponieważ chciałam, aby moje pierwsze wrażenia były wrażeniami z lektury powieści, a nie z książki propagandowej. Większość z nas chętnie zgodzi się z tezą, że furor teutonicus nie jest wynalazkiem hitlerowskim, ale że wywodzi się z Zakonu Krzyżackiego, a nawet jeszcze wcześniej — ze szcze-pów germańskich, które były takim cierniem w żywym ciele Imperium Rzymskiego jeszcze przed Tacytem. Ale nie powieści czy epepeje czytamy po to, aby się utwierdzić w tym przekonaniu. Twierdzenie Lorda Vansittarta, iż książka Sienkiewicza jest drugoczącym potępieniem niemieckiej agresji w ciągu wieków, byłoby bardziej przekonujące wtedy, gdyby książka ta była współczesnym dokumentem historycznym, a nie służącym ściśle określonej celowi dziełem głęboko patriotycznego Polaka, napisanym w 500 lat później. Ta wielka powieść przemawia bardziej do uczuć niż do analitycznego intelektu. Budzi ona współczucie, sympatię, oburzenie, i łatwo można sobie wyobrazić, jak wielkie wrażenie musiała wywierać na uciemiężonych Polakach, którzy pod koniec ubiegłego wieku znajdowali się na samym dnie pruskiej i rosyjskiej niewoli. Ale wysiłek Sienkiewicza, aby przedstawić ciągłość zła od Zakonu Krzyżackiego do Prus Bismarcka, choć niewątpliwie solidnie ugruntowany na faktach historycznych, ma ten raczej nieoczekiwany skutek, że jego Niemcy wydają się dziwnie dziewiętnastowieczni i sztuczni, podczas gdy na odwrót takie postaci, jak Jurand i Maćko, są możliwe do pomyślenia w XIV w.

Sama książka uderza olbrzymią skalą treści i środków artystycznych, tym, co nasz skłonny do drwin wiek mógłby nazwać „wysokim tonem moralnym”, oraz prostotą, która sięga do naiwności do surowych wyżyn najlepszej literatury epickiej. Ma ona wszystkie zalety i tylko nieliczne błędy literatury historycznej XIX w. Gdyby te same wydarzenia zostały opracowane przez pisarza XX w., rezultat byłby prawdopodobnie bliższy rzeczywistości tego, czym wydaje się być ów brutalny, namiętny i cyniczny wiek, w którym kodeks rycerskości mimo walki wypierany był z jednej pozycji za drugą. Ale powieści takiej brakłoby tych pełnych natchnienia i ponadczasowych

wartości sztuki Sienkiewicza, które swój najpiękniejszy wyraz znalazły w scenie, kiedy ślepy Jurand rozcina więzy wroga Zygryda i wypuszcza go na wolność.

Pisząc o tej książce, pewien londyński recenzent zdyskwaliifikował ją jako „fabryczny gobelin”. Wydaje mi się jednak, iż wartość Sienkiewicza polega właśnie na tym, że w znacznej mierze zdołał on uniknąć tych pułapek sentymentalizmu XIX w., w jakie Scott i Macaulay często i głęboko wpadali. Stworzył on wiarygodny świat i wiarygodnych ludzi — prostych, religijnych, dumnych, łatwo wpadających w gniew i łatwo przebaczących. Spośród polskich bohaterów powieści jedna tylko błada Danusia robi takie wrażenie, jakby wywodziła się z galerii dziewiętnastowiecznych heroin. Ale ponury neofita Jagiello, szlachetna, świętobliwa królowa, bystry, stary rycerz-ziemianin Maćko (przypominający Rycerza Chaucera, choć Rycerz ten — przykro o tym pisać — w młodości walczył w szeregach Krzyżaków), wesola księżna Danuta, żywa wierna Jagienka, Powal z Taczewa, ten „rycerz bez zmyłu i strachu”, muzyczny Francuz de Lorches, i sam Zbyszko, dumny, porywczy, o lwim, rycerskim sercu wszyscy oni i wielu jeszcze innych bohaterów powieści tworzą bogate i pełne życia tło dla wielkich wydarzeń historycznych tych czasów, kiedy to wysunięte placówki chrześcijaństwa były zagrożone od wewnątrz przez Zakon Krzyżacki, a od zewnątrz przez hordy tatarskie.

Porównanie przekładu angielskiego z polskim oryginałem byłoby zadaniem trudnym. Można jednak stwierdzić, że angielszczyzna tego przekładu jest dobra, prosta, żywa, nie przeładowana świadomymi i nużącymi archaizmami. Anonimowy tłumacz wywiązał się dobrze ze swego zadania. Sama akcja nie wymaga komentarzy. Każdy Polak jest z nią niewątpliwie od dzieciństwa tak spoufalony, jak my z „Ivanhoe” czy „Śmiercią Artura”. Wielki temat ogólnonarodowej doniosłości panuje nad całą tą długą i skomplikowaną akcją. Zaś w wielkim końcowym opisie bitwy pod Grunwaldem, która zniszczyła Zakon Krzyżacki, Sienkiewicz porzuca swój skromny i bezpretensjonalny sposób traktowania tematu, aby wnieść się na wyżyny epickiej godności i prostoty i niemal homeryckiej siły porównań.

Sheila Pridmore

Zofii Kossak „Bez oręża” („Blessed Are the Meek”).

Powieść historyczna może być dla czytelnika jedną — albo dwiema — rzeczami: albo romantycznym wyprawami. Może ona być romantycznym odtworzeniem pewnych malowniczych i dramatycznych scen, postaci czy wypadków przeszłości; i jako taka może — rzecz prosta — być dobra lub też zła. Albo też może ona w tych samych ramach szukać wiecznych czy też powracających prawd; może ona ująć pewien moment historii z tym zrozumieniem i podkreśleniem istotnych wartości, które rozszerza perspektywę specyficznego odtworzenia tego co szczególne ku temu co ogólne, od tego co historyczne do tego co ponadczasowe i które faktowi, zanotowanemu w kronice, nadaje znaczenie nieśmiertelnej alegorii. Na nieszczęście taki ambitniejszy zamiar przynosi ze sobą swoje własne zasadzki na powieściopisarza, pokusy zbytnej sympliczności, zniekształcenia faktów, kaznodziejstwa; pisarz, który chce powieść dzieć zbyt dużo, zbyt szeroko zakreśla sobie swój obraz. „Bez oręża” nie uniknęło tych wilczych dołów. Nie może ono być nazwane wielką powieścią, tak jak wielką powieścią są np. Heinricha Manna „Młode lata Henryka IV”. Ale ma ona wybitne zalety dobrej powieści o poważnym ciężarze gatunkowym. Przed oczyma naszymi zmartwychwstaje święty Franciszek z Asyżu na tle korowodu postaci, namiętności i sprzeczności swojej epoki, i to w sposób, który świadczy o głębokim zrozumieniu żywych prawd jego myśli. A kiedy się to już stwierdziło, nie trzeba chyba dodawać, — co powinno być rzeczą oczywistą, — że ta powieść o pierwszych dziesięcioleciach XIII wieku ma do powiedzenia dużo rzeczy zdrowych i pobudzających do myślenia dzisiaj.

Albowiem pomimo czterech wypraw krzyżowych święte miejsca chrześcijaństwa pozostały nadal w ręku niewiernych: raz już odzyskane i potem znowu odbite. Ostatnia armia, która wyruszyła do walki o skarby duchowe Grobu Pańskiego, zboczyła dla zdobycia zamiast nich bogactw Konstantynopola. U siebie w Europie, tak królom jak i bogaci panowie oraz prosty lud w swej nędzy byli ślepi na wszystko, co wykraczało poza ich bezpośrednie horyzonty samolubnych interesów. Pobożność w Kościele wydawała się być narzędziem dumy i potęgi. Piękność i poezja, miłość oraz naturalne uciechy życia były tematami, opiewanymi przez trubadurów w sposób, który wynosił radość zmysłową i pożądanie ponad słusne prawo. A protest przeciwko tym wykroczeniom sam był zboczeniem: była to ponura herezja Albigenów, głosząca, iż świat zmysłowy jest two-rem szatan, i zakazująca wszelkiej radości życia. Na taką scenę kompletnego zniechęcenia duchowego wkroczył człowiek, który kochał Boga i wszystkie Jego twory, który nie szukał niczego innego, jak tylko dobroci Boga i wszystkich Jego twórców i braterstwa Bożych dzieci, który poprzez pełen zamieszania świat pożądania i strachu siedział przed sobą w śpiwnie na ustach, który żył w niezdołanej wolności ostatecznej nędzy i który, żyjąc w świecie dobra, piękna, radości i miłości, wniósł z powrotem ducha chrześcijaństwa w ponure życie ludzkie i uczył na nowo, jak ludzie pokorni, pełni błogosławieństwa i błogosławiający, zdobędą ziemię.

Piąta wyprawa krzyżowa skończyła się niepowodzeniem, — tak jak i poprzednie — tracąc z oczu swój idealny cel — przywódcy jej chcieli sobie zapewnić wielkie bogactwa materialne i potęgę. Kiedy Franciszek opisywał sułtanowi ideały chrześcijaństwa, ów poganin najpierw odpowiedział mu szyderstwem, a potem zaręczył mu, że jest on jedynym prawdziwym chrześcijaninem,

jakiego kiedykolwiek spotkał. Nawet własny zakon Franciszka powodzenie sprowadziło z drogi prostoty i absolutnego ubóstwa, która była pierwotnie jego regułą. Ale mimo to Franciszek żyje dzisiaj, podczas kiedy inni popadli w niepamięć, a nawet jego nieosiągalny ideał, Królestwo, które starał się zbudować, jest jedynym, jakie trwa. A konfrontacja z jego życiem i jego czasami jest czymś, czego żaden wiek nie może bezpiecznie zapomnieć.

Przypominając nam o tej konfrontacji, polska autorka tej książki odmalowała wspaniały obraz epoki piątej wyprawy krzyżowej w Europie, Egipcie i Palestynie; w swojej zawsze dramatycznej narracji stale wysuwała swego zawsze godnego miłości bohatera na front sceny. Autorce tej recenzji charakter św. Franciszka, jego sposób mówienia i działania przynoszą głębokie zadowolenie. Kiedy tylko bohater ten jest na scenie, książka jest zawsze ogromnie interesującą lekturą. Powieść cierpi jednak z powodu nieco zbyt mozolnego i mechanicznego toku mowy, z powodu pewnych romantycznych przesadnych uproszczeń, a w jednym wypadku z powodu tego, co wydaje się być nieusprawiedliwionym potraktowaniem historii. Pierwszy błąd, być może, jest w znacznej mierze wywołany tą okolicznością, że książka była tłumaczona przez literatkę, dla której język angielski nie jest językiem ojczystym i że nie znalazł się redaktor, któryby wygładził przypadkowe niezgrabności i pewną ciężkość, za które nie powinno się winić tłumaczki. Romantyczne zbytne uproszczenie może być wytłumaczone względami na narrację. Ale czytelnik nie może znaleźć uzasadnienia w kronikach czy powodach artystycznych dla przedstawienia w powieści krucjaty dziecięcej jako intrygi handlarzy niewolników. Jest rzeczą znaną, że jedna z o-wych tragicznych armii dziecięcych wpadła w ręce handlarzy niewolników. Ale o ile mnie moja znajomość historii nie myli, „Nicolas”, który zwoływał tę armię dziecięcą, nie był dorosłym człowiekiem, planującym podłość, ale marzydzielskim chłopcem. Historia krucjaty dziecięcej opowiedziana tu została od strony jej okropności i nieszczęścia, ale niczego nie zyskano przez to, iż zniekształcono jej genezę.

Tak wyglądają błędy. Mimo to „Bez oręża” zajmuje szlachetne miejsce wśród tych powieści historycznych, które nie tylko roztaczają przed nami sceny barwnych pochodów, ale także rzucają światło na wieczne prawdy.

Katherine Woods.

Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”
ukazała się książka

INŻ. ANTONIEGO KOTUŻYŃSKIEGO
ROLNICTWO PALESTYŃSKIE
I
OSADNICTWO ŻYDOWSKIE
W PALESTYNIE

Stron 217 i 10 ilustracji
Cena 250 milsów.

OPINIE ANGIELSKIE

London, 21 sierpnia 1944

Czy prasa angielska jest wrogo usposobiona wobec Polski?

Alister Cooke, amerykański komentator radiowy B.B.C. (drugi obok Reymonda Gram Swinga, o którym pisałem poprzednio) wypowiedział nie dawno w pogadance radiowej znamienne zdanie. Mówił o wystąpieniach antyangielskich poważnego odłamu prasy amerykańskiej, w związku z wnioskiem brytyjskim o przedłużenie *Lease-Lendu* na okres powojenny. „Usłyszycie jeszcze niejedno na ten temat, gdy nieco później cała sprawa pójdzie przed Kongres, ale chwilowo — moim zdaniem — nie ma powodu do przynębie- nia z powodu niektórych nieprzyjaznych słów, wypowiedzianych w bieżącym tygodniu. Powtórza się one niewątpliwie ze wzmoczoną siłą w ciągu paru następnych miesięcy...”

Przeglądając nie dawno prasę amerykańską (w języku angielskim i polskim) i byłem zdumiony gwałtownością inwektyw i ataków antyangielskich. Zdumiony zaś byłem dlatego, że o tym wszystkim panuje w prasie angielskiej obojętne na ogół milczenie. Nie tajają się tego, ale także nie wyolbrzymia i nie zalamuje się ręk. A przecież na szali jest bardzo wiele. Jutro Anglii jest zależne od Ameryki w tej samej mierze, co wczoraj Francji po wojnie 1914—1918 było zależne od Anglii, a wiemy dzisiaj, jak groźne dla Francji były tarcia francusko-angielskie.

Niektórzy Polacy oburzają się na Anglików. W oburzeniach tych grzeszymy nieumiarkowa- niem. Jeśli gazeta angielska, pisząc o sprawach polskich, wypowie zdanie, z którym się nie zgadzamy, to oburzeniu nie ma końca. Miesza się „jobużów” z błotem; zasypuje się pismo listami do redakcji równie długimi (a zatem nie do druku) jak obraźliwymi; odpowiada się sążnście na łamach... (nomina sunt odiosa). Efekt jest ten, że w tydzień czy miesiąc później trzeba wszystko odwołać, bo pismo napisało dla odmiany coś pozytywnego o Polsce.

Pewien mój znajomy, — tym razem niegłupi, choć gorąca głowa — oburzał się na piękny artykuł o Warszawie, ogłoszony w „Observerze”. Nie rozumiałem zrazu powodów jego oburzenia i, zdziwiony, zapytałem, co mu się w artykule nie podobało.

„To bezczelność pisać o kontrastach Warszawy... O Warszawie bogaczy i Warszawie nędzarzy, — powiedział, — kiedy kontrasty londyńskie są stokroć gorsze”.

Kontrasty, być może! Ale dno nędzy warszawskiej o ileż jest głębsze niż slumsy Londynu! Nie o to zresztą chodzi. Artykuł był o Warszawie nie o Londynie, więc dlaczego mój znajomy domagał się porównania. Nie mówiąc o tym, że artykuł był *à propos* obrony Warszawy, a niektórzy Polacy właśnie w tym kontraście widzą wielkość tej obrony.

Porzuć na chwilę złudne śródmięścia bogactwo! Zajrzyj w tę suterenną wilgotną i czarną, Gdzie się dzieci warszawskie gnieźdzą jak robactwo. Zejdź na Gęsią, na Brudno, lub w dół przez Browarną

W głębie ciemne, smrodliwe ludzkiego śmietnika, W tę przepaść, którą Judym znał i znał Baryka. Bezrobotne, bezdomne wyrostki, nędzarze, Tłum cuchnący, zmarniały miasta pomiot wszawy — To oni, właśnie oni, bronili Warszawy, w cementarze, To oni, właśnie oni bronili Warszawy, Gdy tamci... Gdy my, wreszcie, tak samośmy zbiegli...

I czegoż tak bronili i, za co polegli? Jeśli tych dzielnic hańby porywny armatnie Nie rozniosły i bomby nie zżarły ogniste, To niech te mury zwałą nasze ręce bratnie, Gdy czas przyjdzie wysoko pod niebo gwał- dziste, Na wolności prawdziwej jawny znak widomy, Dumnym łukiem strzelistym Szklane dźwignąć Domy. (Słonimski)

U. N. R. R. A.

Problemy, jakie czekają świat po zakończe- niu działań wojennych, przerastają swym ogro- mem wyobraźnię. Dlatego słusznie ograniczyła się UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration) do dwóch R — Relief and Rehabilitation — a pominęła trzecie R — Recon- struction.

Jakie zadania czekają UNRRA, organizację, stworzoną 9-go listopada 1943 r. na zjeździe przed- stawicieli 44 sprzymierzonych i zaprzyjaźnionych państw? Przede wszystkim dostarczenie żywności dla głodnych. Miliony wygłodniałych i niedoży- wionych przez pięć lat okupacji czeka na pomoc. Należy im jak najszybciej po oswobodzeniu do- starczyć kalorii, aby usmierzyć głód i zmęczenie. Głównie brak będzie Europy mleka, mięsa i tłuszczów, ale z początku trzeba będzie położyć główny nacisk na dostawę węglowodanów — głównie zboża — najszybsze źródło energii. Następnie trzeba będzie dostarczyć nasion, maszyn rolniczych, nawozów, paliwa i t. p., aby ludność mogła rozpocząć normalną produkcję rolną dla własnych potrzeb. Dopiero potem stać nas będzie na „luksus” tłuszczów i protein.

Innym problemem jest repatriacja. Samych Francuzów jest w Niemczech 1.800.000. Aby ich przetransportować do Francji, trzeba po 24 po- ciągi dziennie przez trzy miesiące. Według ofi- cjalnych ocen jest dziś na świecie (za wyjątkiem ZSRR i Dalekiego Wschodu) między 21 a 30 milionami bezdomnych: wywiezionych na roboty przymusowe, jeńców cywilnych i wojskowych, w obozach koncentracyjnych, uciekinierów wojen- nych i „rasowych”, zakładników, wysiedlonych i ukrywających się. Któż wyczerpie tę listę grozy? (Liczba Chińczyków, którzy opuścili swe domy na skutek wojny, ocenia się na 40.000.000). Te cyfry są najstraszniejszych oskarżeniem Nie- miec i Niemców. Celem jednak UNRRA nie jest oskarżanie, ale pomoc. Udzielać będzie tej po- mocy, dostarczając potrzebującym odzieży, mieszkani, lekarstw, surowców, maszyn do pro- dukcji artykułów pierwszej potrzeby. Będzie odbudowywać instytucje użyteczności publicznej (wodociąg, światło, komunikację), wyposażać szkoły i uniwersytety.

Kto za to będzie płacił? Ten, kto będzie mógł. Państwa nieokupowane przyczynia się suma, równa 1% dochodu narodowego. (Na Stany Zjed- noczone wypadało około 340.000.000 funtów, a na Anglię — 80.000.000 funtów). Kraje takie, jak Belgia, Holandia i Norwegia, będą płaciły za pomoc otrzymaną, dostawami ze swych kolonii lub usługami swej marynarki handlowej.

Naczelnym dyrektorem UNRRA jest Herbert H. Lehman, były gubernator stanu New York.

Nie obetrze UNRRA lez i nie naprawi krzywd. Zbyt ich jest wiele i zbyt są straszliwe, ale właś- nie ten ogrom nieszczęścia sprawia, że nie ma miejsca na dobrowolną i nieorganizowaną dobro- czynność. Musi być plan i musi być organizowa- ną wola pomocy, bo inaczej, Bóg jeden wie, pokój może być stokroć nawet gorszy od wojny. Organizacją tej pomocy zajmie się UNRRA.

Partia Liberalna a Niemcy

Partia Liberalna ogłosiła swój plan w sprawie Niemiec. „Germany After the War” brzmi jego tytuł, a autorem jest komitet pod przewo- dnictwem lorda Perth (Sir Eric Drummond), byłego sekretarza Ligi Narodów od r. 1919 do 1933, a następnie ambasadora brytyjskiego we Wło- szech. Padają już tu i ówdzie miarodajne oświad- czenia w sprawie niemieckiej. Churchill oświad- czył, że Karta Atlantycka nie dotyczy Niemiec. Labour Party mimochodem poruszyła problem niemiecki w raporcie Rady Naczelnej na kongres partyjny, ale plan Partii Liberalnej jest właści- wie pierwszym skonkretyzowanym planem. I jako taki poważnie rozczarowuje. Postawa lorda Van- sittarta, nawet postawa niektórych lewicowych zwolenników t. zw. „dobrych Niemców”, mają- mocną ideologiczną podstawę i dlatego są one logiczne i konsekwentne. Program Partii Liberalnej to szklanka letniej, dostaje wody w upalny dzień.

Bo posłuchajmy: „Niemcom nie wolno będzie utworzyć takiej siły zbrojnej, która pozwoliłaby im na pielegnowanie myśli o zwycięstwie i na- paści”. Innymi słowy, każda inna armia wolno im utworzyć. A gdzie jest kryterium do osądu, jaka armia „może pielegnować myśl o zwycięskiej napaści”? Niemcy po r. 1918 pozostawiono ze stu- tysięcinną armią kadrową, która przygotowała obecną wojnę. Więc jak to ma być właściwie tym razem? Aby jednak sprawy powikłać do reszty, zabrania plan liberalów Niemcom produkowa- nia po wojnie samolotów, tanków, dział ciężkiego kalibru, pancerników i łodzi podwodnych. Z czego wynika, że wolno im będzie produkować karabiny maszynowe, lekkie działa, kontortorpedowce i ścigacze, a nawet bomby rakietowe lub taką inną broń, jaką jeszcze potrafią wymyśleć. Aby nas pocieszyć, dodaje raport, że to ograniczenie produkcji „nie wywoła w Niemczech niedostatku, bo Niemcom nie trzeba przemysłu samolotowego do gospodarczego dobrobytu”.

„Zalecamy kontrolę nad importem metali do Niemiec...” Ale kto wie, czy bomb latających lub rakietowych nie będzie można produkować np. z mas plastycznych. A co wtedy? Natomiast „komitet nie jest za kontrolowaniem budżetu niemieckiego...”

W kwestii wychowania młodzieży niemiec- kiej i w ogóle Niemców komitet zaleca zamiano- wanie wysokiego komisarza dla spraw redukcji — najlepiej Amerykanina, — ale proponuje, aby istniejące organizacje młodzieży zostały utrzy- mane „naturalnie po zmianie ich dotychczasowych celów i kierunków”. Nasuwa się pytanie, kto miałby te zmiany przeprowadzić. Czy może przywódcy Hitlerjugend? A może nowi nauczy- ciele, którzy dzisiaj mają lat 22 i przez ostatnich dziesięć lat byli w organizacjach hitlerowskich, a teraz są w armii niemieckiej lub Gestapo?

Taki plan jest gorszy niż żaden plan. Jest podstawą dla nowych niemieckich interpretacji, a potem pogwałceń. Nie rozwiązuje problemu Nie- miec, ale, co gorsza, nie rozwiązuje problemu Europy. Bo zdajemy sobie sprawę, że nie chodzi tu o Niemcy, ale o Europę. Europa bez Niemiec nie może istnieć, ale Europy nie stać na trzeci niemiecki Amok.

Politycznie i gospodarczo Niemcy jako pań- stwo muszą być skrepowane tak, aby nigdy nie mogły szkodzić. To jest *conditio sine qua non* pokoju. Kwestia indywidualnej swobody dla Niemców jest do dyskusji, jeśli suwerenność państwowa, której tak konsekwentnie naduży- wali, zostanie obalona. Szkoda, że ten pierwszy plan trafił kulą w plot. Plan dla Niemiec jest bowiem jednym z najważniejszych zadań, jakie nas czekają.

Nie należy na podstawie planu liberalów są- dzić, że angielska opinia publiczna jest za łagod- nym i pobłażliwym traktowaniem Niemców. Są wprawdzie w Anglii oderwani od życia idealisci jak Brailsford, lub Victor Gollancz, oraz oportu- niści w stylu Kingsley Martina (redaktora „New Statesman and Nation”), którzy mniej lub bar- dziej głośno propagują tezę „let's not be beastly to the Germans” (nie bądźmy okrutni wobec Niemców — słowa ironicznej piosenki), ale zdaje się, że oni jedyni ludzą się co do nastrojów an- gielskich mas. Przeciwny Anglik, a rozmawiałem na ten temat z dziesiątkami robotników, inteli- gentów i... półinteligentów — pamięta Niemcom wszystko bardzo dobrze. Pamięta Austrię i Cze- chosłowację, pamięta Guernicę, Warszawę, Rotterdam, Belgrad, pamięta szosy Belgii i Fran- cji — pamięta blitz 1940-go roku, wyrzuty mści- wymi zgłoskami: „London and Coventry” w sercu każdego Anglika. A Niemcy w swej bezdennej głupocie przypominają im dzisiaj to wszystko ponurym warkotem latających bomb.

H. S. Dominik

POEZJA KARPACKA

Zbiór wierszy żołnierzy Brygady Strzelców Karpackich

Wiersze:

B. Andrzejewskiego, J. Białotowicza, M. He- mara, A. Jamama, B. Kobrzyńskiego, J. La- skowskiego, S. Młodzieńca, J. Nałęcza, K. Nałęcza, T. Sowińskiego. — Pieśń Brygady.

Cena: 200 milsów

Wydawnictwo „W DRODZE”, Jerozolima

Wśród książek, przysłanych z Anglii

Co pewien czas dociera do nas z Anglii garść książek polskich lub poświęconych sprawom polskim. Są one rozmaitej wartości i bardzo różne zaspaka- jają upodobania czytelnice. Kiedyś historyk emigracji powrośniętej przyjrzy im się napewno dokładniej, ustalając, które wytrzymują surową próbę czasu i przejdą do skarbca klasycznej lite- ratury polskiego uchodźstwa, a które zapadną w ludzką niepamięć, jako dokumenty doraźnej po- trzeby, mniej lub więcej szlachetne spełnienie pa- lącego „zamówienia społecznego”. Dziś jednak warto każdej z nich poświęcić choć parę linijek omówienia, pamiętając, że rzecz krytyka jest nie tylko sądzić i klasyfikować, ale także niekiedy skromnie rejestrować, chroniąc słowo pisane przed niszczącym działaniem czasu. Poza rzeczow- ym w miarę opisem nie znajdzie więc tu czytel- nik nic, co by nadawało autorowi iluzoryczne praw- o arbitra. Ale że jest on również cząstką tej wielkiej, rozproszonej po świecie gromady „żel- nierzy wolności” i nieobojętne mu są sprawy, znaczące ślad polskiego wysiłku umysłowego na obczyźnie, pofolguję nieraz sercu lub żywsem odezwie się słowem.

Poza ramami niniejszego artykułu znajdzie się z natury rzecz poezja emigracyjna. Tak dużo w niej talentów nowych, tak wiele niespodzianek artystycznych i uczuciowych, że dowodem kary- godnej nieuczulości byłoby wprowadzić pomiędzy jej dzieła broszurki o przemijającej wartości my- śli i słowa, które żyją nie dłużej niż cel, jakiemu służą.

A przecież nie jest rzeczą przypadku, że ten przegląd polskiej literatury emigracyjnej otwo- rzyć musi mimo wszystko tom wierszy. Tylko ona, poezja, dotrzymuje nam wiernie kroku, tylko ona nie opuszcza nas, gdy ręce opadają bezradnie, uczy cierpliwie, gdy jakże trudno uwierzyć, że idea, walące się pod obuchem bezdusznej siły, podwigni- na się jak niegdyś na nowo z mgławicy zdławio- nych „prawd żywych”. „Słowo, które żywi” — zno- wu jest naszym sprzymierzeńcem, towarzyszy nam wśród piasków Afryki i Azji, zagrzewał w śnie- gach wygnanej Północy. Kto poza Polakami zdolny jest odczuć krzepiącą moc tej najsza- chetniejszej ze „sztuk stosowanych”? Ilu spo- śród wytwornych koneserów sztuki uczeźwie po- trafi dojrzeć utajoną, żeby się chciało, arysto- kratyczną siłę ducha sybirskiego więźnia, który spieczonymi przez mroźny wiatr wargami przez d w a l a t a powtarzał te same, ocalone z se- tek rewizji strofy, coraz to odnajdując w nich nowe, niewidoczne przedtem piękno?

Po kleścu wrzesniowej wraz z całym życiem Polski zstąpiła w podziemia i poezja. Nie jest to poezja zwykła i próżnoby przykładać do niej miary, w jakie ujmuję się zazwyczaj bieżącą pro- dukcję literacką. Każda poezja konspiracyjna jest z natury rzeczy poezją m ó w i o n ą, albo nawet lepiej — s z e p t a n ą. Nie recytowana, gdyż recytacja słyszała tylko czyni wizję seman- tyczną, ale mówioną w takim sensie, w jakim urok posiadają dla nas piosłowa, umówione has- ła, niedomówione wrzeszcze szeptu. Stąd jej jaskra- wa konwencjonalność, skłonność do literackiej imitacji. W wydanej w okupowanej Warszawie przez autora, ukrywającego się pod ironicznym pseudonimem Narceza Kwiatka „A n t o l o g i i p o e z j i p o d z i e m n e j” znajdujemy jeden wiersz Słonimskiego, jeden stanowiący wolną prze- róbkę z Broniewskiego, i wiele innych, w których podźwięk najpiękniejszych strof poezji polskiej przeplata się z wzruszającą ludzkim poszukiwa- niem wyrazu artystycznego dla uczuć zwykłych i pięknych. Głębokie wzruszenie ogarnia na widok tych prostych, nieporadnych często wierszy, w których obecne jest wszystko, czym żyje Polska okupowana: dumna, zamknięta w sobie cisza nie- woli i radosny, ożywiony sen o wolności. To poła- czenie religijnie nieomal że odczutego dopustu dziejowego z żarliwą wiarą w przyszłość daje efekt niezwykły i rzadko spotykany. Sprawia, że „Antologia poezji podziemnej” robi wrażenie bar- dzo czystego m o d l i t w n i k a p o e t y c k i e g o. Nie można tych wierszy czytać i nale- ży je cicho, wielokrotnie z m a w i a ć.

Wdzięczność należy się Tymonowi Terleckie- mu, który zajął się emigracyjnym wydaniem tej książeczki. W pięknie napisanym wstępie, który jest holdem, złożonym czystości niewyszukanych uczuć przez surowego i subtelnego krytyka lite- rackiego, powiada on, że „Antologia poezji pod- ziemnej” powinna się znaleźć w każdym żołnier- skim plecaku. Sądzę, że gdyby wydano ją w mniej- szym (podkreślającym konspiracyjność) formacie i większym nakładzie, znalazłoby się dla niej miejsce w każdej żołnierskiej kieszeni, obok in- nej, małej książeczki, po którą człowiek sięga w chwilach smutku i prawdziwego strapienia.

Myliłby się jednak, kto by sądził, że ludzie w Kraju żyją tylko wzruszeniami przeszłości i pel- nym nadziei oczekiwaniem. Typ polskiego konspi- ratora, czujnego, odważnego i mądrego zatroszczo- nego o nowy kształt wolnej ojczyzny i rządzonego państwa czeka jeszcze na swego poetę. Naiwnie, nieporadnie próbują wyjść mu naprzeciw nowelki, zawarte w tomie Jerzego Pietrkiewicza „U m a r l i n i e s ą b e z b r o n n i”. Stylizowane na „bajeczki z prawdziwego zdarzenia”, ujmują one ludzki polskiego podziemia od najgorszej stro- ny, bo od strony literackiego szablonu. Wątpię, czy ktoś z ludzi, którym poświęcone są strony tej książki, rozpozna w przyszłości swych towarzyszy broni. Ciekawe, że cudzoziemcy o wiele lepiej, po- wiedziałbym dyskretniej i kulturalniej, wyobraża- ją sobie życie w krajach okupowanej Europy. Z przyjemnością, choć nie bez zastrzeżeń, dotyczą- cych przeważnie dramatycznego nadużywania „dobrych Niemców”, czyta się książki takie, jak „Salute to Lidice” (książka zbiorowa pisarzy an- gielskich, pomyślana jako wyraz holdu dla boha- terskiej wioski czeskiej), lub „The Moon is Down” (o Norwegii pod okupacją), powieścio- pisarza amerykańskiego, Steinbecka. Przy okazji warto również pomyśleć o tym, jak to się dzieje, że Czesi, którzy mają o wiele „spokojniejsze” od- nas podziemie, potrafią je bez porównania lepiej niż my uprzytomnić światu. Niedawno czytałem bardzo interesujący urywek z powieści młodego pi- sarza czeskiego Stefana Heyma „Hostages”¹⁾.

Omówione wyżej książki mają na celu pod- trzymać i pogłębić nasz związek uczuciowy z Pol- ską okupowaną. Jest rzeczą zrozumiałą, że pisarze i publicyści polscy, rozproszeni po całym świecie, postanowili z tej wędrówki wynieść także inną korzyść: poznanie obcych instytucji politycznych i społecznych, obcych wartości kulturalnych i od- miennych od polskiego stylów życia. Wydana przez Pen-Club polski z zasiłku Funduszu Kultu- ry Narodowej książka zbiorowa o „W i e l k i e j B r y t a n i i” (ukazała się już mutacja „środ- kowo-wschodnia” tej książki) postawiła sobie za zadanie zbadać najistotniejsze składniki życia kraju, z którym związała nas wspólna walka i który udzielił tak serdecznej gościny wielu pol- skim intelektualistom. Książka jest bardzo pozy- teczna, solidnie pomyślana i opracowana i zachę- ca do kontynuowania tego niesłusznie niedocenia- nego gatunku pisarskiego, jakim są prace zbioro- we na „zadany temat”. Rozpracowanie poszcze- gólnych zagadnień powierzono specjalistom, przy czym mile uderza fakt, że sprawy religijne, które zawsze najtrudniej jest w ciągu stosunkowo krót- kiego czasu dokładnie poznać, omawiają pisarze angielscy. O geografii wysp Brytyjskich pisze Zofia Hohub-Pacewiczowa, zagadnienia polityczne i społeczne wyjaśniają Prozor i Poznański, gospo- darstwo angielskie analizuje prof. Henryk Tennen- baum. Henryk Gotlib pisze o malarstwie angiel- skim, a Stanisław Baliński — nie najlepiej (szkie- jest bardzo subiektywny i niejasny) o literaturze angielskiej. Do książki włączono również dwa luź- ne essaye, oparte nie tyle na suchym materiale faktycznym, ile na grze impresji, spostrzeżeń i studiów. Obraz Londynu Tymona Terleckiego ma jasny trzon konstrukcyjny, ale w rezultacie tak się rozrasta i gubi w gmatwaniu szczegółów i dro- biazgów, że chyba tylko w ten oryginalny, choć może niezamierzony sposób daje pojęcie o spłata- nym mieście-obrzymie, rozrosłym wokół precy- zyjnego planu architektonicznego Wrena. Wiemy jednak, jak trudno jest portretować miasto, i jeśli w „Lalece” podoba nam się sugestywna wi- zja Paryża, to pamiętajmy, że stworzył ją czło- wiek, który Paryż znał bardzo pobieżnie. W essay'u Zbigniewa Grabowskiego drażni odrobnie pociąg do nieprzekonywujących i banalnych uogół- nień. Ten łatwy sposób pisania o Anglii znamy już ze szkiców Floriana Sokołowa i sądzimy, że jeśli podyktowany on bywa czasem wymaganiami po- śpiesznej pracy dziennikarskiej, to nie powinien jednak wkradać się na karty książki, która na pewno stanowić będzie poważną pozycję w polskiej anglistyce.

Trzecią grupę książek, przysłanych z Anglii, stanowią druki i broszury, pisane na doraźny u-żytek propagandowy, z myślą o obronie polskich postulatów politycznych lub o wyjaśnieniu ich ludziom, dla których Polska jest jeszcze ciągle krajem napół egzotycznym. Te role spełniają do- bre książki takie, jak „The Importance of the Polish Eastern Provinces for the Polish Republic” Wielhorskiego, artykuły o „linii Curzona” i „well- sowskiej Polsce” Adama Pragiera i wreszcie pre- konygująca a z propagandowego punktu widzenia wyjątkowo wartościowa praca Kazimierza Smo- gorzewskiego „About the So-called Curzon Line and Other Lines”. Niewątpliwie znaczenie, gdy się zważy rodzaj upodobań i zakorzeniony wśród An- glików szacunek dla książek, ma również ilustro- wana informacja Marii Danilewiczowej „Libra- ries in Poland”.

Obraz powyższy byłby niepełny, gdybyśmy go nie zakończyli znanym spostrzeżeniem. Nie ma już książek, poświęconych projektem przyszłej Europy i Polski. Do zamierzonej przeszłości zda- ją się należeć plany federacji środkowo-europej- skiej, nie dociera już z Londynu „Ruch zachodnio- słowiański”, zapominano o książce prof. Tennen- bauma o „Europie środkowo-wschodniej w gospo- darstwie światowym”. Nie jest to tylko grzech pol- skiego piarstwa politycznego. Im bliższy staje się zwycięski koniec tej wojny, tym wyraźniej przechodzimy od postawy planowania „budowania na nowych zasadach”, do postawy defensywnej, „obrony przedwojennego stanu rzeczy”. Czy to nie groźny znak? Miliony młodych ludzi na całym świecie z goryczą musi zastanowić się nad tym, czy warto było toczyć 7-letnią wojnę po to, że- by zdobyć sobie prawo do „spokojnego” wyczeki- wania następnej.

Gustaw Herling-Grudziński

PROBLEMY BAŁKAŃSKIE

JUGOSŁAWIA

(dokończenie ze str. 3)

ju społecznego. Główna opora komunizmu — proletariát fabryczny, w Jugosławii prawie nie istnieje.

Wpływy komunistów w ruchu Tita obec- nie wydają się maleć, liczbą natomiast jego zwolenników rośnie, nawet wśród emigracyj- nych kół jugosłowiańskich. Dość duża ilość działaczy politycznych i oficerów już opowie- działa się otwarcie po stronie partyzanatów, lub też wypowiedziała swoją sympatię i uzna- nie dla walki Tita z Niemcami. Między nimi są ludzie tak wybitni, jak generał Šimowicz, inicjator i główny przywódca buntowników, którzy w r. 1941 położyli kres proniemieckiej polityce księcia regenta Pawła i wprowadzili na tron obecnego króla Piotra.

Obecnie już osiągnięto zostało porozumie- nie. Doszło ono do skutku przede wszystkim dzięki wyraźnej zmianie poglądów króla Piotra i jego otoczenia na działalność Tita i znaczenie jego armii dla sprawy oswobodze- nia Jugosławii.

Witold Szymański

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

WYBOR POEZJI

1925—1944

Cena 200 milsów

Wydawnictwo „W Drodze”, Jerozolima

¹⁾ Propozycja wydawnicza: jak najrychlej po- winny się ukazać w wydaniu książkowym polskim i angielskim piękne reportaże z Kraju pióra Marii Brzeskiej, drukowane w „Polsce Walczącej”.

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Z chwilą, gdy słowa te idą na maszynę, dobiega już szósty tydzień walk w Warszawie, walk, w których Polska Armia Podziemna nadal jest tragicznie sama. Dziś, w momencie wielkich i powszechnych zwycięstw wojsk alianckich — Warszawa jest jedynym frontem, na którym Niemcy mają przynajmniej przewagę techniczną i — zwyciężają. Coraz liczniejsze głosy prasy anglo-amerykańskiej świadczą, że los Warszawy wstrząsnął sumieniem tych ludzi, których na posiadanie go stać. Świadomość tego nie zastąpi jednak ludziom, ginącym w Warszawie, ani burzonej stolicy pomocy w osłonie samolotów, w amunicji, sprzęcie wojennym, w medykamentach, tak jak nie wytłumaczy im tej ponurej zagadki, że okazało się, iż z Wolomina czy Falenicy jest daleko do Warszawy.

Pierwszą fazę inwazji kontynentu europejskiego — bitwę o Francję — Sprzymierzeni mają już poza sobą. Zakończyła się ona wspaniałym zwycięstwem. Drużgocąca przewaga techniczna, szybkość postępów, zdezorientowanie nieprzyjaciela, który mając odcięte drogi odwrotu, masowo dostawał się do niewoli — nie brakło w tym zwycięstwie żadnego z tych, klasycznych już dziś rysów Blitzkriegu. „Zostaliśmy pobici naszą własną bronią” — stwierdza melancholijnie cotygodniowy komentator niemieckiej klęski, gen. Dittmar.

W zwycięstwie tym jeden moment trzeba szczególnie energicznie podkreślić: wyjątkową sprawność służby zaopatrzenia armii Sprzymierzonych. Trzeba bowiem sobie uświadomić, że służba ta miała do dyspozycji tylko jeden wielki port, Cherbourg, który, jak się okazało, nagle, niemal z dnia na dzień, musiał wystarczyć dla obsłużenia frontu wielkiego i położonego daleko od swoich baz wyjściowych.

Już, już wydawało się, że postępy wojsk Sprzymierzonych zamieniają się w marsz tryumfalny do Niemiec. Co niecierpliwse agencje zapowiadały już przekroczenie granicy niemieckiej, zwycięstwo Akwizgranu, Kolonii... Komunikaty donosiły już co prawda o wkroczeniu pierwszych oddziałów amerykańskich na terytorium niemieckie na zachód od Trewiru, mimo to wiemy dobrze, iż Sprzymierzonych czekała jeszcze ciężka walka. Niemcy bowiem potrafili jednak zorganizować linię frontu, wzdłuż której zawzięcie bronią armiom Sprzymierzonych dostępu do Rzeszy. Po przełamaniu zaś tej linii czeka wojska alianckie jeszcze sformowanie linii Siegfrieda. Co prawda doświadczenia obecnej wojny — począwszy od losów linii Maginota w r. 1940, poprzez linię Gustawa, skończywszy na losach Wału Atlantyckiego z tego lata nie wzbudzały w nas zbyt dużego zaufania w skuteczność wszelkiego rodzaju linii fortyfikacji, ale nie ulega wątpliwości, że Niemcy będą tu stawiali zacięty opór, po prostu dlatego, że jest to ostatnia linia ich oporu. Propaganda niemiecka może dowoli deklamować, że i potem każde miasto, każdy próg... po przełamaniu linii Siegfrieda droga do Niemiec stoi przed Sprzymierzonymi otworem.

Opóźnić postępy Sprzymierzonych ma zacięty opór niemiecki w portach północnego wybrzeża Francji: Breście, Boulogne, Calais. Niemcy doskonale rozumieją, że z chwilą kiedy porty te znajdą się już w ręku Sprzymierzonych i staną się zdadne do użytku, posiłki i sprzęt wojenny z tego wielkiego arsenału, jakim jest obecnie Wielka Brytania, będą mogły przybywać na front najkrótszymi drogami i praktycznie w nieograniczonych ilościach. Dlatego portów tych z taką zawziętością bronią.

Zaciętość tej obrony, której wojska Sprzymierzone doświadczyły również pod Rimini, jest jednak interesująca jeszcze z jednego względu. Garnizony tych portów walczą przeciwko przeważającemu nieprzyjacielowi, bez szans zwycięstwa, nieustannie ostrzeliwane z lądu i z powietrza, mając przed sobą perspektywę zniszczenia. Mimo to walczą. Świadczy to, że mimo tylu klęsk i mimo braku możliwości poprawienia sytuacji wojska niemieckie nie zalały się. W tej zaciętości oporu niemieckiego w obecnej sytuacji militarnej jest bardzo dużo fanatyzmu, który, jak każdy fanatyzm, jest głuchy na wszelkie argumenty rozumowe, ale jest też i cień nadziei, że jeśli w wyborach prezydenckich przejdzie nie Roosevelt, a Dewey, i jeśli Niemcy zdołają się do listopada skutecznie bronić, to może jednak uda się wytargować jakiś kompromisowy pokój. Dlatego ostatnie oświadczenie Deweya musiało tu być dla Niemców przykrym rozczarowaniem.

Korespondent Reutera cytując pod datą 10 września następujące dyplomatyczne słowa z artykułu „Observer’a”: „Rosyjskie postępy wojenne na Bałkanach wysuwają polityczne konsekwencje i podnoszą problemy polityczne w sposób raczej bardziej ostry niżby się tego można było spodziewać w obecnym stadium wojny”. Artykuł ten podnosi następnie, iż „brytyjskie kółła dyplomatyczne co prawda ochłonęły już z wstrząsu (recovered from the jolt), wywołanego przez nagłą interwencję sowiecką w sprawie bułgarskiego zawieszenia broni” — tym samym jednak przyznaje, że „wstrząs” taki miał miejsce. Jednocześnie jesteśmy świadkami ostrej dyplomatycznej ofensywy sowieckiej na Turcję.

Najbliższe tygodnie powinny wyklarować stanowisko mocarstw na Bałkanach. Penetracja rosyjska na Bałkany ma już za sobą długą historię. Wybuch obecnej wojny przypała akurat w dwieście lat po Traktacie Belgradzkim, który przypieczętował niepowodzenie pierwszą rosyjską zbrojną próbę opanowania Bałkanów. Przypieczętował ją mimo niewątpliwych powodzeń rosyjskiego oręża, trochę dlatego, że nie dopisała sojuszniczka Rosji w tej wojnie, Austria, a przede wszystkim dzięki sprzeciwowi innych mocarstw. Albowiem jak pisał wówczas Montesquieu, dobry znawca spraw politycznych: „Imperium tureckie jest obecnie mniej więcej w tym stanie słabości, w jakim niegdyś byli Grecy; ale będzie ono jeszcze długo istnieć. Albowiem jeśliby jakiś władca wystawił imperium to swoimi podbojami na niebezpieczeństwo, trzy inne handlowe mocarstwa Europy zbyt dobrze znają swoje interesy, aby natychmiast nie zorganizować obrony”.

Druga próba rosyjska — wojna z Portą w latach 1768—1774, zakończona pokojem w Kuczuk-Kainardzi — jest dla nas szczególnie pamiętna,

losy Polski spłotyły się w niej bowiem z losami Bałkanów. I w tej wojnie wojska rosyjskie odniosły szereg dużych sukcesów: zajęły Jassy i Bukareszt, Rosjanie zrobili desant w północnym Peloponezie, flota rosyjska wypłynęła na morze Śródziemne i przygotowała się do bezpośredniego ataku na Bałkany. A jednak mimo tych wszystkich zwycięstw Rosjanie wycofali się z Bałkanów — rekompensatę otrzymali w zdobyczach terytorialnych w Polsce.

Rosja jednak nie rezygnuje z podbojów na Bałkanach. Carowa Katarzyna wypowiada Porcie nową wojnę w r. 1781. Sultana uratowała wówczas inwazja szwedzka na Rosję. W Petersburgu widziano w tym intrygę angielską. „Pan Pitt — ironizowała carycza — chce mnie wypędzić z Petersburga. Mam nadzieję, że pozwoli mi poszukać schronienia w Konstantynopolu”. Dwukrotnie — w latach 1806 i 1809 — próbuje Rosja na Bałkanach szczęścia w czasach wojen napoleońskich, a potem raz jeszcze, w r. 1828-9. W wojnie, która do historii przeszła pod nazwą Krymskiej stawały były właściwie Bałkany. W r. 1878 wojska rosyjskie posunęły się na Bałkanach bardzo głęboko: przebyły sobie drogę aż do wybrzeża morza Egejskiego. Ale za każdym razem w ostatecznym rozrachunku zwyciężcą okazywały się nie one, lecz maksyma Monteskiusza.

W pierwszej wojnie światowej zwycięstwo cieśnin należało do rosyjskich celów wojennych. Ale rewolucje roku 1917 wybałyły mocarstwa Ententy od konieczności wystawienia maksymy Monteskiusza raz jeszcze na próbę.

Powikłania na Bałkanach należą jednak, jak dotychczas, tylko do sfery możliwości i przypuszczeń. Zato twarda rzeczywistość stawia tu Niemcy przed dwoma groźnymi problemami. Po pierwsze, wojska niemieckie w Grecji i południowej Jugosławii — ocenia się na około 200 tysięcy żołnierzy — mają już dziś faktycznie odcięte drogi odwrotu. Uratować się z nich może tylko niewielki procent. Po drugie, Niemcy stoją przed koniecznością jak najszybszego zmontowania jeszcze jednego — czwartego frontu, któryby przebiegał przez Węgry i północną Jugosławie. Równocześnie front zachodni wymaga od Niemców ogromnego wysiłku wojennego. Jakże Niemcy wysiłkowi temu będą mogli poddać?

W lipcowym numerze amerykańskiego kwartalnika „Foreign Affairs” ukazał się artykuł George’a Fieldinga Eliota, poświęcony obliczeniom siły armii niemieckiej. Obliczenia są ostrożne i wzbudzają zaufanie. Elliot obliczał armię niemiecką na 320 dywizji pierwszej linii (w tym 50 dywizji pancernych). Razem z różnymi służbami armia niemiecka, zdaniem jego, liczyła z końcem wiosny b. r. 5,235.000 ludzi, w tym żołnierza frontowego — 3,850.000. Około 25% tej armii stanowią nie-Niemcy. Obliczenia te dokonane były jeszcze przed rozpoczęciem ofensywy rosyjskiej i przed desantami Sprzymierzonych we Francji. Nie ma danych, któreby pozwoliły ściśle obliczyć straty niemieckie w obu tych kampaniach. Na pewno są one olbrzymie. Bardzo ostrożne obliczenia pozwalają uznać te straty za przenoszące milion

żołnierza. Być może nawet, że wynoszą one ponad półtora miliona. Niemcy mają więc w tej chwili nie wiele ponad dwa miliony żołnierzy frontowego. Nowego rekruta mają co prawda przynieść zapowiedziane ostatnio bardzo drastyczne redukcje. Trudno jednak przypuścić, aby zdołały one dokonać cudów. Ostatecznie, jest już szósty rok wojny i Niemcy przeprowadzili już kilka „totalnych” mobilizacji. Mimo tego więc, że Sprzymierzeni w bardzo szybkim tempie oswabdzają Niemców od kłopotów utrzymywania garnizonów w krajach pobitych Europy, problem rezerw ludzkich jest dla nich dziś tragicznie groźny.

*

Ciągle jeszcze mamy bardzo mało z oswożonych terytoriów zachodnio-europejskich wiadomości, któreby nam pozwoliły zorientować się, z jakim kapitałem celów i ideałów politycznych Francja i Belgia wynurzyły się spod okupacji niemieckiej, jakie tendencje tam w tej chwili przeważają i jakie jest napięcie walk politycznych. Nie trzeba podkreślać, z jaką niecierpliwością na te wiadomości wszyscy czekamy. Znać odpowiedź na te pytania, to — w znacznej mierze — zorientować się, jakie będzie oblicze polityczne powojennej Europy.

Bliższy wgląd w sytuację francuską będziemy mieli dopiero wtedy, gdy dotrą do nas pisma francuskie z Paryża. Tymczasem jednak już z tego, co podają korespondenci brytyjscy, można wynotować sporo ciekawych informacji. Przede wszystkim jedną niespodzianką: oto okazuje się, że sytuacja żywnościowa Francji i Belgii jest dużo lepsza, niż się tego na ogół spodziewano. Jest to wiadomość pomyślna, nie tylko ze względów czysto humanitarnych. Ma ona także i duże znaczenie polityczne. Sytuacja żywnościowa powinna Francji ułatwić możliwie gładkie przejście do nowego, powojennego reżimu, ułatwia też de Gaulle’owi wysuwanie żądań przywrócenia Francji statutu mocarstwa.

Mimo to sytuacja polityczna we Francji jest mocno napięta. Raczej naturalnym zjawiskiem są w tej chwili represje przeciwko ludziom reżimu Vichy i wszelkim kolaboracjom. Ponieważ ludzie ci rekrutowali się przede wszystkim — choć wcale nie wyłącznie — z partii prawicy, więc ich naturalną konsekwencją musi być znaczne osłabienie wpływów politycznych tych partii. Poza tym jednak korespondenci notują — co prawda w sposób raczej ogólnikowy — objawy napięcia pomiędzy de Gaulle’em a partiami politycznymi. Depesze korespondentów nie przynoszą, jak dotychczas, szczegółów, któreby pozwoliły na wycenienie obrazu. Zławsza ciekawostką — nie tylko ze względów wewnętrzno-politycznych — będzie pozycja, jaką zajmie francuska partia komunistyczna.

Ostatnia rekonstrukcja rządu francuskiego świadczy, iż de Gaulle stara się zachować w ręku swoim i swoich ludzi jak najwięcej kluczowych pozycji. Rola przedstawicieli przedwojennych

stronnictw politycznych jest w tym rządzie raczej skromna. Zato dużym sukcesem de Gaulle’a jest osoba Jules’a Jeanneney w jego gabinecie. Już przed wojną Jeanneney, prezydent Senatu, mimo że pozostawał raczej w cieniu, cieszył się we francuskich kołach politycznych wielkim autorytetem moralnym. Okres okupacji niemieckiej, który był dla polityków francuskich ciężką próbą charakterów, autorytetu tego nie osłabił, przeciwnie, wzmocnił go jeszcze.

Podczas gdy wiadomości o sytuacji wewnętrznej we Francji i w Belgii są skąpe, o sytuacji politycznej w Rumunii i w Bułgarii poza chudymi komunikatami oficjalnymi nie mamy żadnych informacji. Mimo że upłynęły już blisko dwa tygodnie od chwili, kiedy wojska sowieckie wkroczyły do Bukaresztu, rokowania o zawieszenie broni nie dobiegły jeszcze końca, Rumunia nie nawiązała jeszcze stosunków dyplomatycznych z państwami anglosaskimi i w Bukareszcie — a co dopiero mówić o Sofii — nie ma jeszcze ani jednego korespondenta angielskiego czy amerykańskiego.

*

Wszystkie korespondencje alianckie z Paryża i z Brukseli zgodne są w jednym: w stwierdzeniu żywiołowej nienawiści, jaką do Niemców żywią dzisiaj Francuzi i Belgowie. Zasługuje ona na podkreślenie tym bardziej, że Niemcy, zwłaszcza ostatnio, prowadzili w obu tych krajach politykę kaptowania ludności miejscowej. Nienawiść ta, łącznie z fanatyzmem, jakiego objawy składają Niemcy na frontach, oraz brakiem wszelkich objawów jakiegokolwiek zorganizowanej akcji antyhitlerowskiej w samych Niemczech sprawiają, że dyskusja na temat „dobrych Niemców” staje się równie akademicka, jak akademicka okazała się dyskusja na temat ewentualnych kontaktów, jakie alianci ponoć byli skłonni nawiązać z reżimem Vichy. Po prostu rozwój wypadków politycznych czyni wszelką taką dyskusję zbędną. Pokazuje on, że żadnych „dobrych Niemców” — przynajmniej w sensie politycznym, który tu wyłącznie ma znaczenie — nie ma. Cała zresztą koncepcja „dobrych” Niemców jest już w założeniu swoim bardzo naiwna. Przecież wszyscy ci dobrzy Niemcy biernie zaakceptowali przyścislenie Hitlera do władzy dwadzieścia lat temu (hitlerowcy chętnie się wtedy, że ich rewolucja była najmniej krwawą rewolucją w świecie), jak i potem przez całe dwadzieścia lat bardzo aktywnie z nim współpracowali, posłusznie słuchając jego rozkazów. Głęboka prawda moralna powiedzenia Burke’a, że „zarówno ci, co sprawują władzę despotyczną, jak i ci, co na nią zezwalają, są na równi zbrodniarzami”, nigdy jeszcze chyba w historii nie miała tak pełnego zastosowania, jak wobec nich. Te wszystkie wiadomości, jakie nas docierają o warunkach zawieszenia broni dla Niemców wyraźnie liczą się z takim stanem rzeczy. Warunki te będą bardzo twarde. Nie my będziemy się z tego powodu martwić.

ww.

12. IX. 44

KRONIKA POLSKA

PAT doniósł z Bejrutu dn. 5 b. m.: Szef Polskiego Biura Prasowego w Bejrucie, p. Bohdan Łączkowski, przyjęty został przez Prezydenta Republiki Libańskiej, p. Becharra el-Khoury, któremu wręczył specjalny egzemplarz numeru dwutygodnika „W Drodze” poświęconego Libanowi. Wyrażając radość z libańskiego numeru „W Drodze”, Prezydent oświadczył, iż „stanowi on dokument w dążeniu Libanu do utrwalenia niepodległości”. Prezydent el-Khoury podkreślił artystyczną zewnętrzną szatę numeru i wyraził pragnienie, by wydano go również w języku francuskim.

Następnie p. Łączkowski przyjęty został przez prezesa Rady Ministrów, p. Riad bey Solh, oraz ministra spraw zagranicznych, p. Selima Takla, którzy również wyrazili wdzięczność z powodu libańskiego numeru dwutygodnika.

Nakładem nowojorskiego wydawnictwa „Roy Publishers” ukazały się w języku angielskim następujące trzy książki: Porucznika Herberta tom dwudziestu opowiadań z życia lotników polskich „G — for Genevieve”, Ksawerego Pruszyńskiego tom wrażeń z pobytu w Rosji w latach 1941—1942 „Russian Year. The Notebook of an Amateur Diplomat” (jest to angielska redakcja serii artykułów, ogłaszanych swego czasu w londyńskich „Wiadomościach Polskich”), oraz wybitnego pisarza żydowskiego Zalmana Shneoura „Downfall”, powieść z życia Żydów w Warszawie pod okupacją niemiecką w czasie tamtej wojny światowej.

W serii „Biblioteka Orla Białego” ukazały się dwie nowe książki. Witold Szyrski, st. asystent Kliniki Neurologicznej U.S.B. w Wilnie, ogłosił książkę p. t. „W laboratorium radości życia”, jest to „zarys higieny psychicznej ze szczególnym uwzględnieniem życia wojskowego”. Jan Bielatorczyński wydał p. t. „Azja i Afryka” spory tom „antologii poezji polskiej na Środkowym Wschodzie”. Obejmuje on wiersze następujących poetów: Lecha Piwowara, Bogumila Andrzejewskiego, Czesława Bednarczyka, Jana Bielatorczyńskiego, Zdzisława Bronela, Ludwika Biesiadowskiej, Władysława Broniewskiego, Józefa Bujnowskiego, Jadwigi Czechowiczówny, Mariana Czuchnowskiego, Czesława Dobka, Stefana Ejchlera, Ksawerego Glinki, R. Grzymały, Mariana Hemara, Władysława Hoffmana, Władysława Jaworskiego, ks. Kamila Kantaka, Bolesława Kobrzyńskiego, Feliksa Konarskiego (Ref — Rena), Jerzego Dolegi Kowalewskiego, Anatola Krakowieckiego, Janiny Królikowskiej, Jana Kudrewicza, Jerzego Laskowskiego, Stefana Legeżyńskiego, Stanisława Ligonii, Teodozji Lisiewicz, T. Lubicza, Artura Miedzyrzeckiego, Zygmunta Milewskiego, Henryka Mirzwińskiego, Stanisława Młodożeńca, Romualda Moszora, Kazimierza Nalcza, Beaty Obertyńskiej, Jana Olechowskiego, Lucjana Paffa, Marii Petry, Bolesława Redisa, Cz. Rośniewskiego, Kazimierza Sawicza, Sindbada, Władysława Skupienia, Tadeusza Sowińskiego, Witolda Szyfera, Janusza Wedowa, Tadeusza Wittli-

na, K. Wiwatowskiego, Jerzego Woszczenina, Józefa Żywny.

Nakładem londyńskiego wydawnictwa Eyre & Spottiswoode ukazała się po angielsku książka Stanisława Mackiewicz, „Colonel Beck and His Policy” — W tymże nakładzie wyszła książka podpułkownika G. R. Gayre „Teuton and Slav on the Polish Frontier”.

W Londynie wyszło nowe wydanie, na r. 1944, redagowanej przez Joela Canga książki informacyjnej „The Who's Who of the Allied Governments and Allied Trade & Industry. 1944”. Przynosi on obszerny dział polski — notatki biograficzne, wiadomości o urzędach — w porównaniu do zeszytowanego, w którym było sporo nieścisłości, znacznie poprawiony.

Jako odbitka z kwietniowego zeszytu nowojorskiego „Quarterly Bulletin of the Polish Institute of Art and Sciences in America” ukazała się rozprawa Emily Allyn „Polish-German Relations in Pomerania and East Prussia”.

W tomie piątym wydawanej w Londynie nakładem Macdonalda & Co. pod redakcją Jacques’a Métadiera publikacji „Solidarity” znajdujemy dwie polskie prace: Mieczysława Szerera „Europe (Federalism — Leadership — Organisation)” i prof. Olgierda Górki „The Solidarity of Central Europe”.

Nakładem jerozolimskiego wydawnictwa „Tarsisz Books” ukazał się „Konrad Wallenrod” w przekładzie na język hebrajski Szlomy Skulskiego. Okładkę dla książki projektował Zygmunt Kowalewski.

W Letchworth nakładem „Letchworth Printers Ltd.” ukazał się zbiór opowiadań morskich Arkadego Fiedlera p. t. „Dziękuję ci, kapitanie!”. Książka przynosi następujące opowiadania: „Thank you, capt’n, thank you!” „La France est morte!” — krzyknął murzyn i dostał kopniaka”. „Roch plata figle”, „S.S. Bielsk, statek z charakterem”, „Smarownik Łoza chce jeść”, „Wspaniały kapitan i niezłomny statek”, „Ich bitwa”. — Książka ma się ukazać w przekładach na języki angielski, francuski i hiszpański. Zapowiedziano nową książkę tegoż autora p. t. „Żarliwa wyspa Beniowskiego”. Zapowiedziano również nowe przekłady „Dywizjonu 303” (który w ub. r. wyszedł w trzech wydaniach podziemnych w Kraju oraz przełożony został na języki: angielski, portugalski i francuski; w przygotowaniu są przekłady na języki hiszpański i czeski), książek „Ryby śpiewają w Ukajali” (przekłady angielski, francuski i portugalski) oraz „Kanada pachnie żywicą” (przekład francuski).

Kairski tygodnik francuski „La Marseillaise” w numerze z dn. 9 września drukuje p. t. „Des Polonais parlent de la France” fragment z artykułów Romana Fajansa o gen. Jułn (artykuły te po francusku drukowane były w „Journal d’Egypte”, po polsku — w „Paradzie” i w „Gazecie Polskiej”) oraz dłuższe ustępy z artykułu Wiktora Weintrauba „Paryż Redivivus”, zamieszczonego w numerze 17 (35) „W Drodze”.

W Londynie ukazał się jako osobna broszura tekst odczytu A. Bruce Boswella, profesora

uniwersytetu w Liverpool, wygłoszonego w Londynie p. t. „Past of Poland”.

Jako tom 43 wydawanej pod redakcją dra Ł. Kurdybachy „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie” ukazało się znane opowiadanie dla dzieci Zofii Rogoszożówny „Dzieci pana majstra”. Książkę zdobi dziesięć ilustracji Krystyny Domańskiej i Alicji Drwęskiej.

F. Mildner & Sons w Londynie wydali w przekładzie polskim książkę Krzysztofa Hollisa „Kryzys pieniądza”. Książka poprzedzona została przedmową autora do wydania polskiego i „Uwagami” Adama Doboszyńskiego.

Nakładem Min. Przemysłu, Handlu i Żegluga ukazała się w Londynie książka inż. Władysława Morgulca „Wytrzymałość materiałów”, oraz inż. Kazimierz Belskiego „Turbiny parowe”.

Zdzisław Grabowski wydał w Londynie broszurę p. t. „Przyszłość Polski”.

Nowość!	Nowość!
Nakładem Wydawnictwa „W Drodze”	
ukazała się	
BOLESŁAWA PRUSA	
LALKA	
Tomy I i II	
(tomy III i IV w druku)	
Cena każdego tomu 150 milsów.	

NOWOŚĆ!
W najbliższych dniach ukaze się tom poezji MARII PETRY
STRVNY

Wydawca: Ignacy Pokrywa
Redaktor: St. A. Balicki
Adres Redakcji: Polish Information Centre
Jerusalem, Bezalel Street, House Valero
Drukarnia: The Jerusalem Press Ltd.